

Mieszkowski, Wiktor

Dwie drogi

Biezuńskie Zeszyty Historyczne 23, 45-84

2009

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

DWIE DROGI^{*)}

W roku 2005 minęła sześćdziesiąta rocznica założenia szkoły średniej w pewnej niewielkiej miejscowości w powiecie sierpeckim – w Bieżuniu. Nie byłoby w tym jubileuszu nic, co mogłoby dziwić, gdyby nie parę okoliczności, jakie temu wydarzeniu towarzyszyły i są nadal bardzo wymowne, a mogą także dziwić teraz, po latach.

Po pierwsze – chodzi o Liceum Ogólnokształcące nie w miasteczku wielkości średniej, lecz na wsi.

Po drugie – trudny był czas w kraju, niesprzyjająca wręcz chwila historyczna, by natychmiast po zakończeniu działań wojennych rozpocząć pracę tak dużą, pracę wymagającą wielkiej ofiarności i zaangażowania całego środowiska w celu wielce pionierskim.

Wreszcie – potrzebni byli, jak zawsze w pracy wielkiej i pionierskiej, przewodnicy, inspiratorzy, organizatorzy. Potrzebni byli ludzie o charakterach, jakie mają tylko wielcy orędownicy, tytani pracy, zarazem ludzie cieszący się autorytetem w środowisku.

Biezuń jako mała miejscina miał to szczęście wtedy, w roku 1945. Dzieła, o którym można mówić chyba tylko z dumą, dzieła niezwykłego, zważywszy na trudności, założenia Liceum Ogólnokształcącego na peryferiach powiatu sierpeckiego już we wrześniu 1945 roku dokonali dwaj entuzjaści i tytani pracy – Stefan Gołębiowski, poeta, prozaik, działacz społeczny i tłumacz Horacego oraz Stanisław Dyksiński, także późniejszy literat, autor powieści, organizator uniwersytetów ludowych i człowiek bez reszty oddany sprawom oświaty i kultury na wsi.

Obaj spędzili życie pracowicie. Obaj pozostawili po sobie dzieła i usługi osobiste, takie, które odnotowane zostały w dziejach literatury

^{*)} tekst pierwotnie oprac. w grudniu 1999 r. na podstawie drukowanych w "Biezuńskich Zeszytach Historycznych" materiałów wspomnieniowych S. Gołębiowskiego oraz fragmentów powieści "Pomniki ze słomy" S. Dyksińskiego (mps); także innych artykułów drukowanych wcześniej w "Zeszytach".

Wszystkie postaci powieści S. Dyksińskiego są objaśnione przez S. Iłskiego w indeksie do powieści S. Dyksińskiego "Pomniki ze słomy" (Żuromin 2008).



Stanisław Dyksiński



Stefan Gołębiowski

i kultury. Lecz pozostawili także obaj dzieło wspólne – szkołę średnią w Bieżuniu. Ich drogi do tego celu były różne, lecz dzieło wspólne.

W niniejszej pracy pokażę zarówno indywidualne zasługi obu działaczy – pionierów w realizacji szansy nobilitującej wsie powiatu sierpeckiego, jak też momenty, gdy pracowali wspólnie na rzecz awansu kulturowego Bieżunia. Ich “dwie drogi” do celu wspólnego z początku były samodzielne, indywidualne. Nie łączyły się, by iść dalej wspólnie. Lecz w roku 1945 owe “dwie drogi” spotkały się. Wspólna praca poparta entuzjazmem oraz wysiłkiem zbiorowym społeczności Bieżunia i okolic przyniosła rezultat niezwykły i trwały.

Sama koncepcja niniejszej pracy mówiąca o “dwóch drogach” jest wynikiem zastosowania pewnych analogii, jakie mi się nasunęły podczas pracy nad dziejami liceum w Bieżuniu i dość mało znanym opowiadaniem H. Sienkiewicza pod tytułem “Dwie drogi”.

Krótko wypada mi wspomnieć, że w utworze Sienkiewicza z lat siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku, czyli z okresu rodzącego się dopiero i agresywnego pozytywizmu, dwaj bohaterowie – Złotopolski i Iwaskiewicz – zostali pokazani jako ludzie o dość różnych postawach.

Jeden z nich – Jaś Złotopolski był właścicielem majątku “Złotopole”. Zbyt zamożny nie był. Włości, które posiadał, sprzedał Niemcom – kolonizatorom, nie oddawał się pracy organicznej, która w tamtym czasie była nakazem patriotycznym. Kontakty utrzymywał jedynie z ludźmi swojej i wyższej sfery. Wszystkich innych uważał za parweniuchy i traktował z góry. Sienkiewicz zarysował więc tę postać jako karykaturę pana obnoszącego się ze swoim “urodzeniem”, wybujałym honorem i dumą, jeżdżącego powozem. Środowisko nie miało z niego nic. Nie był “szermierzem postępu”. A takich właśnie bohaterów preferowali pisarze w pierwszej fazie pozytywizmu – do około 1870 r.

Chodziło o to, że nie pasuje on do programu ambitnego, jaki głosili pisarze, zwani wg nauki “młodymi”. Miał możliwości, prowincja na takich czekała. Potrzeby były duże i pilne. Lecz był lekkoduchem, nie dał z siebie tego, na co wskazywałyby pilne “prace u podstaw” po upadku powstania 1863 r. W końcu noweli Złotopolski odjechał za granicę i osiadł w Dreźnie. (...) *W Złotopolu za to na szwedzkich okopach* (tak nazywano teren należący do Złotopolskiego, w latach wojen szwedzkich toczono tu walki – wyj. aut.) *kwitnęły ogórki...*

Drugi z bohaterów jest postacią w pełni pozytywną, zgodną z programem społecznym “młodych”. Wykształcony inżynier, po studiach w Paryżu, energicznie organizuje fabrykę. Unowocześnia ją, doskonali maszyny, wprowadza nowe technologie. Stopniowo daje zatrudnienie Polakom – obcokrajowców-robotników zwalnia. Zdobywa tymi działaniami pieniądze. Co ważniejsze – zdobywa autorytet. Wszyscy o nim mówią. Wnosi do miejsca, w którym żyje, postęp, światło, dobrobyt. Wziął na siebie “kawalek kraju” i urządził na nim miejsce godnej egzystencji dla innych. Tę postać Sienkiewicz przedstawił w opozycji w stosunku do Jasia – panka.

W końcowym bilansie to on – Maciej Iwaszkiewicz odniósł zwycięstwo. Uszczęśliwił biednych, miał dochód. Największą nagrodą była dla niego ręka panienci urodziwej i zarazem umiejącej wybierać, wychowawnej purytańsko Bujnickiej.

Ilekoć myślę o tej noweli, przychodzi mi nieodłączne skojarzenie z dwoma postaciami z Bieżunia. Nie chodzi o to, że obu przyszło żyć w innym czasie. Lecz obaj nie poszli “innymi drogami”, jak ci z utworu Sienkiewicza. Obrali drogę wspólnego działania na rzecz osady i gminy Biezuń. Zaprzedali się jej, oddali zupełnie i z tego powodu stanowią swoisty przykład “pracy u podstaw” w małym miasteczku, na skraju powiatu sierpeckiego po 1945 roku.

Osada Biezuń po II wojnie światowej znalazła się w granicach województwa warszawskiego, dokładnie zaś w powiecie sierpeckim.

Przebieg wojny nie spowodował tu, nad Wkrą, żadnych zniszczeń materialnych. Straty dotyczą natomiast ludzi, z których wielu zginęło na frontach, w bojowych akcjach partyzanckich, w obozach koncentracyjnych lub w obozach pracy. Z Bieżunia pochodzili też wieszani (egzekucja w Rościszewie), wywożeni w akcjach przesiedleńczych.

Do małego Bieżunia nie docierały bezpośrednio wydarzenia wojenne, nie przechodził tędy front. Dla armii niemieckiej nie mógł to być ważny punkt strategiczny.

Część ludności Bieżunia zginęła w latach 1939-1945, część już po wkroczeniu Armii Czerwonej. Biezuń tkwił w swoim spokoju i zapóźnieniu cywilizacyjnym. Był “zapyziały”, jak mówił poeta – Stefan Gołębiowski. Po latach terroru i niemieckiej polityki wobec tzw. “Wschodu” Biezuń nie mógł się zbudzić do nowego życia.

Skończył się czas walki, czas okupacji, lecz nie następował czas nowy – pracy, oświaty, budowy innego życia. Tkwiło więc miasteczko w swej

niezawinionej atmosferze zapóźnionego rozwoju, w ciemnocie, w oparach mgieł od licznych tutaj bagien i łąk podmokłych, w oparach sennie płynącej Wkry. Podróżę stąd do Mławy lub Sierpca (powiatu) nadal odbywały się furmanką po drogach piaszczystych, mało brukowanych.

Najczęstsze zawody bieżuńskiej ludności to szary, biedny chłop, wyrobnik lub "rybak" rzeczny, często – szewc lub tzw. cholewkarz.

Przerośnięta młodzież (skutek przerwy w nauce z powodu okupacji) nie miała od razu szansy na rozpoczęcie nauki. W pobliskim Żurominie też szkoły średniej nie było. Tymczasem wolny już od Niemców kraj wołał o ludzi wykształconych, o kadry. Chwila była paląca.

W Bieżuniu nad Wkrą, gdzie w XVIII w. mieszkał wielki Polak – Andrzej Zamojski, gdzie dzieci Zamojskich uczył sam Staszic, gdzie też prawdopodobnie rodziły się w umysłach świątłych współpracowników króla Stanisława Augusta Poniatowskiego nowoczesne teorie polityczne i konstytucyjne ("Kodeks praw"), gdzie bywał Józef Wybicki – zanosilo się na zupełnie zacofanie, zastój i marazm. Tylko Wkra płynęła jak zawsze, malowniczo i leniwie. Była wiosna 1945 roku:

Ludzie są śmiertelnie znęczeni okrutną okupacją i wojną, a tu nie zanosi się na odprężenie. Sytuacja polityczna w kraju nie tylko że się nie wyjaśnia, ale nadal zaciemnia. Jeden rząd w Londynie, drugi w Lublinie. Nie wiadomo, który prawdziwy? Po śmierci Sikorskiego sprawy ze Związkiem Radzieckim bardzo się skomplikowały. Chodzi tu nie tylko o granice na Wschodzie, ale i o przyszły kierunek polityczny i ludzi, którzy będą go reprezentowali (...)

Nastroje w miasteczku po radosnej euforii pierwszych dni wolności znowu stają się szare, powiedziałbym minusowe. Połowa mieszkańców zginęła wymordowana przez hitlerowców w obozach koncentracyjnych, bądź w pobliskich lasach, w tym prawie cała inteligencja.(...) Każdy zadaje sobie pytanie, kiedy wszystko wróci do normy? (...) Bo gdy nawet wyschną łąki po zabitych i pomordowanych, groby zakwitną, pokaleczone pola zostaną zaorane, odbuduje się spalone domy (...), to zadra z lat wojny pozostanie. (...)

Są to słowa wójta z roku 1945 – Stanisława Dyksińskiego z autobiograficznej powieści "Pomniki ze słomy" wydanej w 2008 r.

Teraz od pierwszych dni wolności tu, nad Wkrą, organizowano życie. Dyksiński pisał m.in.:

Kłopotów z każdym dniem przybywało, powiat (Sierpc – przyp. aut.) słał papierek za papierkiem i żądał kontyngentów, zboża, mięsa, siana

i słomy. Większość tych żądań była utopią. Bo skąd wziąć mięso, zboże i ziemniaki (...) W gminie od dwóch tygodni przebywają dwie grupy KBW. Żołnierze nie mają serca do takiej roboty narekwirowali tyle, co by kot napłakał. Jeździłem z nimi przez kilka dni, siana i słomy chłopcy mają w bród, chętnie dają, mogliby nawet opłacić sianem i słomą całoroczny kondyngent. Powiat grozi, że opornych będzie zamykał. Opornych czy biednych? Z takiej wyprawy wracam rozbity i zły.

Tak przedstawił swoje pierwsze dni na stanowisku wójta gminy Biezuń S. Dyksiński. Wkrótce do Bieżunia zajechał wojskowy gazik. Przyjechało w nim dwóch mężczyzn z Sierpca. Jeden był cywilem, drugi w mundurze wojskowym bez dystynkcji. Do S. Dyksińskiego przywieźli rozkaz, by stał się natychmiast w Starostwie. Wójta z Bieżunia przyjął "starszy trochę łysawy pachnący brylantyną", jak podaje autor powieści. Otrzymał propozycję przyjęcia obowiązków wicestarosty w powiecie Sierpc.

Urządник dał parę dni do namysłu. S. Dyksiński dał do zrozumienia, że rezygnuje z propozycji.

Za kilka dni – podaje dalej autor "Pomników ze słomy" – pojawiła się następna oferta:

(...) tej nie miałem ani siły, a jeszcze bardziej serca, by ją odrzucić. Tym bardziej, że prosili i nalegali przyjaciele. I tak zostałem wójtem zwierzchności gminnej w rodzinnym Boleśnie (tak S. Dyksiński nazwał w swojej powieści Biezuń – przyp. aut.).

Królestwo, które posiadałem, liczy wiele sołectw rozrzuconych wokół miasteczka, zaś liczba mieszkańców wprawdzie jest nieco mniejsza niż Księstwo Monaco, ale za to obszarem znacznie go przewyższa. Pewno, że biedniejsza i nie tak urozmaicona, ale własna, rodzona i warto dla niej pracować.

Powoli i z dużym trudem zdołałem uruchomić mechanizm biurowy. Obsługiwany jest przez niezbyt jeszcze doświadczoną załogę, ale za to młodą i pełną entuzjazmu do pracy (...)

Najwięcej uciechy sprawia nam maszyna do pisania, którą kupiłem za psie pieniądze od szabrownika. Nie była ona pierwszej jakości, robiła nawet błędy ortograficzne, ale miałem nadzieję, że z czasem i ona nauczy się poprawnie pisać w ojczystym języku.

Tak Stanisław Dyksiński w humorystyczny sposób wspomina pierwsze dni pełnionej funkcji oraz brak wykształcenia językowego swoich urzędników z biura gminy. Dalej czytamy:

Bezceremonialnie polityka włązi do nowego pokoju, wtrąca się nawet w drobne sprawy. Bronię się przed nią, ale nie wiem jak długo. Urząd do spraw bezpieczeństwa mieści się w tym samym domu co i gmina. Ostatnio zakazałem kategorycznie pracownikom, aby bez mojej zgody nie pozwolili grzebać w protokółach i aktach zarządu gminnego...

Komendantem wojennym w Bieżuniu był oficer w randze kapitana. Mówił śpiewnym akcentem wcale nieźle po polsku. Był Rosjaninem. Interesował się wszystkim i wszystkimi.

W powieści "Pomniki ze słomy" barwnie i plastycznie, z widocznym wykorzystaniem tzw. tropów stylistycznych S. Dyksiński oddał obraz i charakter Bieżunia w momencie, gdy było zaraz po wojnie.

Dobrego obrazu Bieżunia nie stworzył w swej prozie Stefan Gołębiowski. Przytaczam obszerny fragment, bo jest on niezwykle istotny dla dalszych fragmentów pracy o "dwóch drogach". To w takim Bieżuniu – nazywanym w utworze "Boleśnem" (S. Gołębiowski używał nazwy: "Bieluń") będzie powstawać szkoła średnia:

Małe, przygarbione domki spały jeszcze twardo wraz z ludźmi. Glinki – na tej uliczce mieszkały od wieków same biedne rodziny Grędów, Pestów, Twarogów, Łubków, Lajzrów i kto ich tam by spamiętał. Właściciele skrawków ziemi i łączki za dworem, czasem warsztatu szewskiego, gdzie wyrabiali drewniane, tanie chodaki lub klumpy.

W jesienne długie wieczory pustkę ulic ożywiał stukot żelaznych młotków boleśniackich buciarzy. Żywili się rybą złowioną ostrą żelazną ością, latem grzybami i jagodami zwanymi "włochyniami". Węgiel był tu czymś mało znanym, toteż zimą opalało się domy torfem, chrustem lub po prostu suchym krowim łajnem zebranych jesienią na Grądach. Rzadko kto miał konia, za orkę odrabiał młocką, robotą w polu lub przy zbiorze siana na bagnistych łąkach. Całe rodziny chodziły na dalekie "Saksy" lub "Pomry".

Najbliższa droga prowadziła "za Krajnika", tam spokojnie można było wypocząć w białym piasku pod płaczącymi brzożami. Chciałbym powiedzieć – ludzie idzie lepsz!

Od strony pałacu słyszałem wyraźny szum wodnego młyna. Łagodną różową ciszą świtu rozbijał łoskot spadającej wody. Pewno młynarz podniósł stawidła i rzekę puścił swobodnie. Skręcam w swoją ulicę. Na ławce, pod urzędem gminnym skulona postać nocnego stróża Kudluna. (...) Czuję jak z każdym dniem wrastam mocniej i głębiej w tę ziemię, jak odnajduję w niej radość, spokój i siłę.

Znałem wszystkie sprawy miasteczka, bo nic się tu przed nikim nie ukryje. Wszyscy żyli w zasięgu wyciągniętej ręki. Wiadomo, że latem słońce wschodziło zza stodół Ceceli, a zachodziło za wiatrakiem Bunicha. Leonkowi skowronki gnoiły ziemię, toteż brat brata ledwo zrodził. Nazwiska dzieci i młodzieży odczytywało się z twarzy rodziców. Starsi nie liczyli sobie lat, o zbliżającym się zgonie wiedzieli po liczbie pozostałych przy życiu rówieśników. Wiadomo było kto z kim chodził i komu z tego chodzenia urodziło się dziecko. Czy Bajgiel, stary stelmach pił dziś z szewcem Gawronem, kto pobił się z żoną, a doktor czy był już na kawie u pani Nowakowskiej? Rytm życia był tu powolny, tak powolny, że gdyby dobrze wyczuć słuch i wzrok, można by dostrzec jak mija czas.

Miła jest ziemia zawkrzańska! Małeńki wycinek koła, a w nim zduniewająca łatwość porównania sensu czy bezsensu życia (...). Tutaj najlepiej dostrzegłem barwy wschodu i zachodu, najjaśniej świeciły mi gwiazdy, a latem najwcześniej pachniały bzy. Wśród tych wąskich uliczek, niskich domków, znajomych twarzy najgłębiej odczuwałem radość swego istnienia (...).

Z okien mojego urzędu otwierał się rozległy widok na całą prawie "metropolię". Mogłem obserwować czerwone dachy przykucniętych domów, dwa rzędy stodół w przyzwoitej odległości stojących od centrum miasteczka, wieżę kościelną przypominającą pikielhaubę pruską i ciemnozieloną plamę drzew, zza której przeświecały mury dawnego pałacu Zamojskich. Nieco bliżej ruiny świątyni ariańskiej i przerobiona ze starej prochowni masywna i ciężka sylweta młyna wodnego. Od północy wśród falującej równiny łąk widać się łagodnymi zakolami Bielinka i Jeziorka białą wstęgą Wkry. Z różnych stron świata cztery krótkie uliczki biegnęły zdyszane do kamiennego rynku, gdzie kiedyś stała magistracka studnia, gdzie żelazna pompa. Obok niej, na dębowym słupie wisiał dzwon alarmowy (...).

Ten przywołany literacki obraz Bieżunia 1945 już nie istnieje. "Tu zaszła zmiana w scenach mojego widzenia" – rzekłaby M. Dąbrowska. Lecz tak naprawdę, czy zaszła? Nie istnieją tylko brukowane ulice, pompa na rynku, powstały nowe domy naokoło miasteczka. Sama atmosfera pozostała. No i Wkra... jest inna, wyregulowana.

Na chwilę przerwę opowieść pierwszą – "pierwszą drogę".

Stefan Gołębiowski bohater "drugiej drogi" w czasie wojny przebywał w rodzinnym Bieżuniu. Wcześniej – przed wojną – ukończył filologię polską na Uniwersytecie Warszawskim. Po studiach podjął pracę nauczycielską jako polonista w gimnazjum w Przasnyszu. Wtedy też przy-

padł jego debiut poetycki. W 1937 r. wydał zbiorek wierszy "Kłos słońca". Z doświadczeniem nauczycielskim zamieszkał w Bieżuniu w drewnianym domu po rodzicach przy ulicy Zamkowej (in. Młyńskiej). Wkrótce ów dom zajęty został przez niemiecką żandarmerię.

Przyszły założyciel gimnazjum i początkujący literat zmuszony został do przeprowadzki. Przeniósł się – jak podaje w swym pamiętniku:

(...) do domu narożnego naszej Zamkowej ulicy za Starym Rynkiem (...) Na szczęście znaleźli się uczniowie żądni wiedzy z rodzicami gotowymi przyjść nam (nauczycielom – przyp. aut.) z materialną pomocą. Do pierwszych należał Staś Ilski, Laura Żulewska i Halina Przysiecka z Brudnic. Do nich wkrótce doszłusowali koledzy, Tadeusz Kołodziejwski i Stanisław Lipiński. Od nich zaczęło się moje tajne nauczanie.

Trwała jeszcze okupacja. W wigilię Bożego Narodzenia po czteromiesięcznej tułaczce na wschodzie z Włodzimierza Wołyńskiego do Bieżunia powrócił młodszy brat Gołębiowskiego – Józef wraz z żoną Krystyną. Wszyscy zamieszkali w domu na rogu ulicy Zamkowej.

Wszystkim trojgu w razie donosu groziły restrykcje ze strony Niemców. Do denuncjacji jednak nie doszło. Krąg uczniów z tajnego kompletu prowadzonego przez Gołębiowskiego poszerzył się. Do pięciu już wymienionych dołączyli: Lidia Nadratowska, Aleksander Radzywiński, Teresa Żulewska, Danuta Przysiecka, Mieczysław i Regina Budzichowie z Brudnic, Halina Marchlewska, Irena i Janina Marchlewskie (siostry), Eugeniusz Przybyszewski, Henryk Cecelski, Halina Olszewska, Maria Perzanowska, Zygmunt Szymański, bracia Kubińscy z Karniszyna.

S. Gołębiowski już wcześniej zdobył praktykę pedagogiczną, pracując w szkole średniej w Przasnyszu, gdzie miał w uczniowskim żargonie przydomek "Hefajstos". Teraz, w Bieżuniu, zmuszony był brać na swoje barki (należy dodać, że przez całe życie był niepełnosprawny z powodu chorych nóg) całą tajną grupę, ucząc wszystkich przedmiotów, poza gimnastyką i rysunkami. Ilość godzin lekcyjnych poświęconych na poszczególne przedmioty była zgodna z programem przedwojennym. Uczniowie prowadzili zeszyty przedmiotowe. Klasyfikacja była dokonywana co kwartał. Nauczyciel – poeta sam przeprowadzał po roku nauki promowania z klasy do klasy. W pamiętniku poety – nauczyciela znajdujemy notatkę:

Poziom tajnego nauczania był taki, że wszystkich dalek uczących się, bez egzaminów na podstawie moich ocen dyr. Zofia Gałęska przyjęła do Gimnazjum i Liceum w Sierpcu, gdzie należeli do uczniów zaawansowanych.

Gołębiowski wraz z bratem Józefem i bratową Krystyną przenieśli się do domu stryja Stanisława Gołębiowskiego przy ul. Kościelnej. Był to dom drewniany, piętrowy. Na dole mieszkał brat Stefana Józef z matką i żoną Krystyną oraz jedynym synem Andrzejem. Pokój, gdzie poeta nadal prowadził tajny komplet, mieścił się na piętrze. Przez ostatnie trzy lata okupacji S. Gołębiowski – jak wspomina – nie opuszczał domu.

Biezuń został wyzwolony w dwa dni później niż Warszawa – 19 stycznia 1945 r. Odkonanie się to bez entuzjazmu, bez nastroju radości. Fakt prowadzenia tajnego nauczania przez Gołębiowskiego należy uznać za pierwszy moment myślenia o przyszłym gimnazjum. Było to jakby przygotowanie do przyszłego dużego przedsięwzięcia organizacyjnego, oświatowego.

Właściwy i już oficjalny początek i sam pomysł – wtedy jeszcze, w roku 1945 dość “donkichoteryjny” – poeta-nauczyciel oddał w pamiętniku tak:

“Nomen omen” – Hefajstos wbił obuchem klin w głowę samorodnego Jowisza i zamiast Ateny (nawiązanie do mitu greckiego – przyp. aut.) wyskoczyła Szkoła. Oto wiezie mnie z Mławy “Laurowej” (chodzi o Laurę Żulewską – wyj. aut.) Wuj Budzich (...) Bryczka na wybojach podskakuje i w podskokach myśli zwracam się do Wujka:

— Jak może być w Strzegowie, to w Bieżuniu też możliwa, lecz jak tu otwierać szkołę bez budynku, bez niezbędnego sprzętu, bez wyposażenia w pomoce naukowe i bez kadry nauczycielskiej na jakim takim poziomie...

A Wuj to bierze całkiem serio: “Wierzę w takich, co zaczynają od małego...” Pomyślałem, nie żaden romantyk, lecz trzeźwy pozytywista: (stąd tytuł niniejszej pracy – wyj. aut.) “Kto idzie naprzód, dojdzie do celu, choćby sto strachów stanęło na drodze”. Odezwał się we mnie Franek Rakoczy Orkana.

W przytoczonym fragmencie wspomnień S. Gołębiowskiego pojawia się zatem pomysł założenia gimnazjum, lecz także pierwsze skojarzenie imienia przyszłego patrona swej szkoły. Kwestię tę omówię w późniejszych partiach pracy.

Dla swego pionierskiego pomysłu Gołębiowski musiał znaleźć pomocnika, kogoś, kto sam byłby wykształcony, oświecony i kto rozumiałby potrzebę, kto także miałby możliwości pomocy w trudnych, pierwszych próbach. Szukał sprzymierzeńców i takich, którym by nie zabrakło samozaparca w realizacji celu, jak zabrakło tego bohaterom z ówczesnych nowel Sienkiewicza (Iwaszkiewicza, Żłotopolskiego).

Przyszła chwila spotkania się dwóch osobowości, dwóch społeczników. Spotkały się “dwie drogi”. Gołębiowski pisał:

Biezuń stanął po naszej stronie. Ja i Wójt Stanisław Dyksiński znaleźliśmy poparcie w Kuratorium Okręglu Szkolnego Warszawskiego u Naczelnik Jan-kowskiej i zwłaszcza u władz szkolnych powiatu sierpeckiego w osobach inspektora Czesława Bandurskiego, podinspektora Zwolińskiego i ludowego związkowca Francisza Midury, bliskiego mi przez tajne nauczanie.

W dokumentach z tamtych lat nie zachowała się korespondencja urzędowa dotycząca momentu pukania do drzwi władz powiatu, mimo że Gołębiowski pozostawił wiele dokumentów.

Droga Stanisława Dyksińskiego do wspólnego organizowania szkoły średniej w Bieżuniu rozpoczęła się nie w Bieżuniu, w urzędzie gminy, gdzie w 1945 r. został wójtem. Rozpoczęła się od "audiencji" (taki jest tytuł jednego z opowiadań Dyksińskiego, nie dotyczy on jednak Sierpca) na posterunku Milicji Obywatelskiej w Sierpcu mieszczącym się w Rynku sierpeckim:

Drewniana na żółto pomalowana balustradka, duży poplamiony atramentem stół, na nim staroświecki aparat telefoniczny (...) Na środku brudnej ściany, gdzie kiedyś wisiał portret Marszałka Piłsudskiego, wycięta z jakiejś gazety duża fotografia Stalina, a pod spodem niezdarnie wykaligrafowany z błędem ortograficznym napis: "Sława Stalinowi pogromcy faszystuw".

W tym to miejscu S. Dyksiński składał pewne wyjaśnienia nie związane ze szkołą. Sprawa dotyczyła rozbiórki poniemieckiego bunkra.

Wójt gminy Biezuń, a zarazem późniejszy współzałożyciel gimnazjum w Bieżuniu, nie mógł jeszcze wiedzieć, że w to miejsce za parę lat wróci... Jednak sprawa będzie wtedy o wiele poważniejsza. Tu S. Dyksiński zakończy swoją "drogę" aresztowaniem i po zwolnieniu – wyjazdem z Bieżunia.

Tymczasem w Bieżuniu, jak wspomniałem wcześniej, uformowała się powojenna władza. Funkcję komendanta posterunku pełnił (wg informacji powieściowej) niejaki "Skowron", naprawdę Julian Filarski. W miasteczku wszyscy nazywali go "czerwonym szeryfem". Był analfabetą. Utykał na nogi z powodu wojennego postrzału. Pasał zbiorczo krowy z terenu Bieżunia.

Przy szosie sierpeckiej stał przedwojenny jeszcze wiatrak. Tu organizowała się biezuńska komórka PPS. Jej działaczami byli (wg powieści) "Bunich" – Bonisławski, "Pociągiciel" – Kopyciński (z zawodu szewc).

Wspominam o wiatraku biezuńskim nie bez racji. Należał on na trwałe do krajobrazu Bieżunia, był jakby rodzajem znaku rozpoznawczego, jak latarnia morska na wybrzeżu. Niemcy zdewastowali wiatrak.

“Zabrali gazę szwajcarską od mąki, chłopci nie wieźli zboża”. Pisał Dyksiński w powieści:

Na pomączonej podłodze leżały porozbijane kamienie młyńskie, walało się żelastwo z potłuczonych ganzowskich walcy, kawały płótna, podartej gazy, resztki cylindrów. Widać, że zniszczenie zostało dokonane permanentnie i nie tak dawno.

Powróćmy do postaci Stefana Gołębiowskiego, głównego inspiratora i organizatora gimnazjum w Bieżuniu.

Chronologicznie rzecz biorąc, pierwszym dokumentem pisany, jaki się zachował i dotyczył gimnazjum, jest ‘Protokół zebrania organizacyjnego Koła Przyjaciół Gimnazjum im. Wł. Orkana w Bieżuniu’. W nim to czytamy:

(...) 12 sierpnia 1945 roku w sali szkoły powszechnej w Bieżuniu przy udziale przedstawicieli władz samorządowych, państwowych, partii politycznych i miejscowego społeczeństwa odbyło się spotkanie organizacyjne Koła.

Cytowany dokument uratowany został od zniszczenia przez nauczyciela powstałego gimnazjum – Jerzego Poradowskiego i po latach przekazany Tadeuszowi Twarogowskiemu.

Na wspomnianym zebraniu, któremu przewodniczył – zresztą na wniosek S. Dyksińskiego – ksiądz Błażej Pszczółkowski, ustalono prezydium zebrania w osobach: Truszkowski, Drządzewski, Skrzypek, Chmielewski, Ziembicki, Dąbrowski.

Protokół prowadził Jerzy Poradowski, wcześniej wspomniany.

Można wywnioskować, że atmosfera w czasie obrad owego komitetu założycielskiego była osobliwa i gorąca.

Do najaktywniejszych mówców należeli; ks. B. Pszczółkowski, S. Gołębiowski, C. Midura (podinspektor oświaty z Sierpca), S. Dyksiński (wójt bieżuński), I. Kołodziejcki (nauczyciel), S. Dąbrowski (z ramienia OSP) oraz W. Radzymiński – aktywista i działacz PSL.

Gołębiowski, jak wynika z relacji świadków, przywoływał czasy prowadzonego przez siebie tajnego nauczania, argumentował zapewne potrzeby oświaty po wojnie, likwidacji analfabetyzmu i szansy nobilitacji odległego od Sierpca terenu wiejskiego. Zachował się zaledwie krótki fragment obrad w postaci notatki:

(...) to nakłada obowiązek na bieżuniaków zorganizowania w wolnej Polsce państwowego Gimnazjum w Bieżuniu. (...) szkoła ta ma możliwości kształcenia dzieci okolicznych chłopów, by nie pokutowało ogłupiające powiedzenie, że do pługa szkół nie trzeba.

Przytoczone słowa wypowiedział W. Radzymiński, działacz PSL-owski. Zwracał także uwagę na "dużą liczbę uzdolnionych dzieci i młodzieży, których rodzice są niezamożni". W. Radzymińskiego należałoby potraktować jako trzeciego z założycieli szkoły. Nota bene – po paru latach doznał ze strony ówczesnej władzy politycznej wielu cierpień moralnych i fizycznych. Był prześladowany w latach krwawego stalinizmu. Zmarł po ciężkich przejściach w Riazaniu (ZSRR). Jest to jednak odrębny temat, wymagający udokumentowanej relacji historyka.

Po długiej dyskusji na zebraniu w dniu 12 VIII 1945 r. podjęto już konkretne ustalenia, nawet szczegółowe zadania:

1. Kadre nauczycielską przyszłej szkoły zobowiązał się zorganizować S. Gołębiowski.
2. Gminna Rada Narodowa miała przydzielić budynek, w którym wcześniej mieszkali bieżuńscy Żydzi, a w czasach wojny Niemcy prowadzili karczmę "Tylko dla Niemców" ("Nur für Deutsche").
3. Przygotowanie ławek i niezbędnych innych sprzętów powierzono miejscowemu społeczeństwu, instytucjom i organizacjom.

Jerzy Poradowski, który sporządzał protokoły, przechował szczegółowy dokument z tego dnia. Po wielu latach ów dokument znalazł się w posiadaniu mgr. Tadeusza Twarogowskiego – nauczyciela matematyki. On to udostępnił piszącemu te słowa ten historyczny obecnie dokument tamtych lat, co mogę obecnie odnotować tylko z wdzięcznością.

W zachowanym, sporządzonym ręcznym piśmie świadectwie aktywności organizatorów i poświęcenia społeczeństwa gminy znajdujemy fakty.

Ławki dla szkoły ufundowali: pracownicy gminy Biezuń (1 szt.) B. Bogucki (2), Z. Lechowa (1), S. Budzyński (1), J. Gołębiowski (1), D. Nidzowski (1), J. Ziębicki (1), prac. młyna (1), prac. urzędu gminy (2), gmina Stawiszyn (1), Komitet PPR (1), Małecka (1), Nazarewicz-Junkier (1), Strykowska - Mączewska (1), Ratajczyk - Gapiński (1), St. Bieniek (1), Raszkowski z Dźwierzna (1), Nowicki - Kurowski (1) nauczyciele z Bieżunia (1), Nidzowska z Kocewa (1), Małachowska z Kocewa (1), Gołębiowski z Kocewa (1).

Dalej figurują nazwiska ofiarodawców: harcerze z Bieżunia, Straż Pożarna z Bieżunia, Baranowski, Aptewicz, GS Biezuń, radni GRN, SL, Sołectwo Sadłowo, Sołectwo Sadłowo-Parcele, Sołectwo Straszewo, Sołectwo Myślin, Sołectwo Sławęcín, Sołectwo Dąbrówki, H. Krajewski, SL Sławęcín, SL Żuromin, Kosek – Michalski Lutocin, R. Śledzianowski

– A. Pawłowska (Myślin), Zieliński (Jonne), T. Kraśniewski, Grodzicki – Neuman, harcerze z Żuromina, K. Bieniewski, S. Gołębiowski, ks. B. Pszczołkowski, J. Czajkowski.

W sumie zobowiązania zawierają liczbę 53 ławek. Skarbnikiem grupy społecznej organizującej szkołę średnią w Bieżuniu była farmaceutka – Zofia Lechowa.

Budynek dla przyszłej szkoły był stary i zdewastowany. Jako niedawna karczma dla Niemców i mieszkania pożydowskie pomieszczenia należało szybko remontować i dokonać niezbędnej adaptacji.

Komitet organizacyjny na czele z Gołębiowskim i Dyksińskim zaangażował do tych prac miejscowych rzemieślników, głównie murarzy, stolarzy. Postanowiono także, że mieszkańcy Bieżunia wniosą wkład robocizny, transport materiałów furmankami oraz ufundują tzw. “cegiełki”.

Na zebraniu ukonstytuował się stały 9-osobowy “Zarząd Koła Przyjaciół Gimnazjum im. W. Orkana w Bieżuniu” w składzie: ks. B. Pszczołkowski – przewodniczący, J. Poradowski – sekretarz, Z. Lechowa – skarbnik, S. Gołębiowski – członek, S. Dyksiński – członek, S. Dąbrowski – członek.

Z pewnością decyzje, które zapadały podczas opisanego zebrania, były poprzedzone działaniami uprzedzającymi ze strony Gołębiowskiego i innych.

Istotnie – na prośbę Gołębiowskiego i Dyksińskiego – 13 sierpnia 1945 r. Zarząd Główny Związku Nauczycielstwa Polskiego zwrócił się z pismem podpisanym przez prezesa Kazimierza Maja do ministerstwa w sprawie przydzielenia “z dniem 1 września 1945 r. trzech etatów dla organizującego się gimnazjum w Bieżuniu, powiat sierpecki”. W historycznym już teraz dokumencie ZG ZNP z dnia 13 VIII 1945 r. (L.dz. 366/45) podpisanym przez Wawrzyńca Duszę czytamy:

W osadzie Biezuń powiatu sierpeckiego organizacja społeczna i samorządowa wystąpiły z inicjatywą zorganizowania gimnazjum. Zarząd Gminy i Gminna Rada Narodowa oddały na rzecz szkoły dom i zobowiązały się ten dom na swój koszt przystosować do potrzeb szkoły średniej, a także dostarczyć szkole sprzęt.

Czynnik fachowy w pracy organizacyjnej reprezentuje kol. Stefan Gołębiowski, nauczyciel szkoły średniej, mający 13 lat pracy w Gimnazjum w Przasnyszu.

Organizatorzy proszą o przydzielenie 3 etatów dla organizującego się gimnazjum w Bieżuniu z dniem 1 IX 1945 r., co Zarząd Okręgu Warszawskiego Związku Nauczycielstwa Polskiego popiera.

Zarząd Okręgu stwierdza, że w Bieżuniu potrzebna jest szkoła średnia (odległość od Sierpca ok. 20 km, odległość od Mławy przeszło 40 km). Najbliższe gimnazjum sierpeckie miało 3 równoległe klasy: do pierwszej na rok przyszły zapisało się sto kilkadziesiąt dzieci.

Komitet organizacyjny Gimnazjum w Bieżuniu złożył już do władz szkolnych podanie w powyższej sprawie.

Powyższe fakty znajdują też swe odbicie w twórczości literackiej zarówno przyszłego dyrektora – S. Gołębiowskiego, jak i wójta – S. Dyksińskiego. Gołębiowski odnotował starania w ministerstwie w swoich wspomnieniach (drukem ukazały się w “Biezuńskich Zeszytach Historycznych”). Natomiast S. Dyksiński w swej powieści “Pomniki ze słomy” wspomniął początki realizacji gimnazjum i wyprawę do Warszawy:

(...) nocą było słychać jakieś łaskoty. To biedniejsi mieszkańcy rąbali podłogi (...) Całe szczęście, że wybawił mnie z tego zmartwienia Gołąb (przydomek S. Gołębiowskiego – wyj. aut.)

Jednego dnia całą tę dzielnicę sprzedałem mu za symboliczną złotówkę. (...) Przed transakcją obeszliliśmy z majstrami cały obiekt. Murarz Fafka (J. Fafiński – wyj. aut.) i cieśla, stare fachmany, obmacali stropy, belki i więzania. Opalonymi żerdziami oznaczyli każdy dom (...)

Przez wiele dni, nie wyłączając niedziel, Gołąb z młodzieżą szkolną i pospolitym ruszeniem mieszkańców osady rozbierał stare pamiętające Napoleona chatupy, gnijące budy, szajery, chlewki, szopy, śmierdzące klozety, zasypywał śmietniki, oczyszczał rumowiska pod przyszły gmach szkolny, boisko, ogrody. Kopał kwadratowe doły, do których chłopcy zsyrywali czubate fury wapna przywożonego z odległego Sierpca lub Mławy. Co to było za święto, kiedy w kilka miesięcy później w sklepie po Gerlicu, który jeszcze przed niespełna rokiem służył hitlerowcom za karczmę “Nur für Deutsche”, wyczarował pierwsze klasy chłopskiego gimnazjum (...).

W parę dni później wójt Dyksiński i “Gołąb” w Zgagowie k. Zawidza wsiedli do pociągu, jadąc do stolicy w sprawie etatów. Warszawa była w ruinach. Trudno było o dotarcie do kuratorium. Po dłuższym poszukiwaniu ulicy i gmachu dwaj “Don Kichoci” z Bieżunia zostali przyjęci przez kuratora nazwiskiem Kurpiel. Oponował, bronił się, motywował początkowo odmowę “pustą kasą młodego państwa”. Wójt Dyksiński postawił się dość ostro:

Przywieźliśmy wam szkołę gotową, dajemy w prezencie, a wy jej nie chcecie. Dobrze, nie bierzcie, damy sobie radę i bez was.

Kurpiel zmiękł. Na odchodne dwom gościom z Bieżunia kazał być dobrej myśli, życzył sobie jednak najpierw szkołę zwizytować. W ten sposób rodziło się Gimnazjum Samorządowe (lata 1945-46) im. W. Orkana w Bieżuniu.

W roku 1946 szkoła została upaństwowiona i nosiła oficjalną nazwę: "Liceum Ogólnokształcące im. W. Orkana w Bieżuniu."

Należy jednak cofnąć się do momentu tworzenia prac przygotowawczych, remontowych i organizacyjnych.

16 sierpnia 1945 roku doszło do ponownego zebrania organizatorów szkoły. S. Gołębiowski potwierdził, odczytując depezę, że kuratorium warszawskie wydało zezwolenie na otwarcie gimnazjum samorządowego.

Dzięki staraniom wójta S. Dyksińskiego a także radnego W. Radzyńskiego przydzielono na potrzeby remontów 5 m³ desek z tartaku w Sierpcu. Organizowano loterie dochodowe, imprezy. Prace trwały intensywnie. Do wykonania ciągle pozostawało wiele prac stolarskich, malarskich i porządkowych. Desek dostarczonych z Sierpca nie wystarczyło. Musiały być wykonane wieszaki, szafy, płyty. Rolnicy posiadający konie dostarczyli kolejne 3 m³ desek z Sierpca.

Moment otwarcia szkoły wyznaczono nie na 1 września 1945 r. Prace powodowały przesuwanie się tego terminu o kolejne dni września.

Miarodajnym źródłem, by odtworzyć w miarę wiernie tamte dni, są wspomnienia uczniów napisane na moją prośbę w związku z jubileuszem 50-lecia szkoły w roku 1995.

Ewa Pośnik (z d. Cabajewska) uczennica z roku 1945 tak odtwarza moment otwarcia placówki:

Uroczyste otwarcie nowego gimnazjum, pierwszej w historii Bieżunia szkoły średniej, nastąpiło 16 września 1945 roku. Po mszy św. czwórkami, na czele z grupą uczennic uczęszczających w czasie okupacji na tajne komplety do Stefana Gołębiowskiego (...) pomaszzerowaliśmy dumnie ulicami Bieżunia! Następnego dnia rozpoczęła się nauka (...).

Dalej w przytoczonej wypowiedzi wspomnieniowej spotykamy nazwiska pierwszych profesorów. Warto więc ten cenny fragment odtworzyć:

Nie można nie wspomnieć o naszych profesorach, których tylu już nie ma wśród nas. Dożył sędziwego wieku nasz Dyrektor Stefan Gołębiowski, na wiele lat przed nim zmarli: pani Stefania Budny (miała doktorat z filozofii) – język angielski, pani Olga Matkowska (geografia), pan Wiktor Sadkowski (historia), pan Stefan Borek (łacina), nie żyje też pani Lau-

ra Żulewska, która będąc studentką polonistyki zastępowała we wrześniu dyrektora na lekcjach polskiego w pierwszych latach szkoły.

Matematyki i rysunku roku 1945/46 uczył nas pan Jackowski, śpiewu – pani Hanna Kuskówna. Potem następowały zmiany. Jako właścicielka pobliskiego skonfiskowanego majątku zmuszona została do wyjazdu p. Budny, wyjechali p.p. Jackowscy i p.p. Matkowscy, p. Helena Drobot, w następnych latach pani Ewa Leszczyńska, pan Władysław Terlecki, pan Rajmund Cegielski, pan Reda...

Ci właśnie nauczyciele stanowili w roku 1945 i paru następnych elitę intelektualną Bieżunia, oczywiście łącznie z paroma osobami wymienionymi wcześniej. Potrafili utrzymywać właściwy poziom i rangę szkoły.

Jerzy Kraszewski, absolwent szkoły w Bieżuniu, późniejszy znany dziennikarz, komentator prasowy i radiowy przemawiał w rocznicowym wspomnieniu:

(...) Muszę powiedzieć, że utworzenie Gimnazjum w Bieżuniu spotkało się w okolicznych wsiach z wielką radością (...) Oto, bez wielkiego szumu i propagandowych komentarzy, dla nas, chłopców i dziewcząt wiejskich otwierała się droga awansu. Jechaliśmy do Bieżunia z mazowieckich, nadwkrzańskich wsi i osad, z dworskich czworaków i chałup krytych słomianymi strzechami, chłopskimi szosami, na rowerach, szliśmy pieszo, po wiedzę.

Gdyby nie było szkoły w Bieżuniu, wielu z nas nie mogłoby uczyć się. Sierpc, Płock, Mława były dla nas z różnych względów nieosiągalne. Już po latach mieliśmy się dowiedzieć oficjalnie, że hasła upowszechniania oświaty i równego dostępu do wiedzy dla wszystkich w Bieżuniu zbiegły się z inicjatywą pedagoga-społecznika.

Według J. Kraszewskiego w roku 1949 w powiecie sierpeckim około 4400 osób nie umiało czytać i pisać. W roku 1945 z pewnością ta liczba analfabetów była większa.

Analfabetyzm na wsi polskiej był w latach powojennych smutnym spadkiem po latach międzywojennych i samej wojny. W powiecie sierpeckim zniszczenia budynków szkolnych sięgały 60%, zniszczone, rozgrabione były biblioteki, w wielu wsiach w ogóle nie istniały. Książki były w wiejskich domach rzadkością. Losy nauczycieli także były tragiczne, jak losy całego narodu.

O osobie swego polonisty i dyrektora wieloletni korespondent, a w pewnym okresie zastępca redaktora naczelnego "Trybuny Ludu" – J. Kraszewski pisał jako o wyjątkowej osobowości:

Myślę, że Gołębiowski zaraził mnie i moich kolegów (...) także innymi pasjami. Pośrednio, może nawet nie zdając sobie sprawy. Był to społecznik z prawdziwego zdarzenia, trochę w tym społecznikostwie tradycyjny, ale rzeczywisty, nie koniunkturalny. Widzieliśmy jego zaangażowanie w sprawy szkoły, tej Jego – jak pisał – “drugiej młodości”. To nam imponowało, skłaniało do szacunku.

Pragnę jednak jeszcze kontynuować moment samego otwarcia gimnazjum w Bieżuniu. Bardziej uwydatnić tę osobliwą chwilę dziejącą się we wrześniu 1945 r. nie w mieście, nie tam, gdzie wojna łaskawie obeszła się z infrastrukturą, budynkami, drogami, lecz w zapadłej mieścinie drzemiącej w swym zapóźnieniu, gdzie – jak pisał Gołębiowski w zbiorze opowiadań “Stworzenie” – “Bóg zapomniał albo o istnieniu tej wsi, albo nie dokończył dzieła tworzenia”.

S. Dyksiński w swej prozie pisał:

Cała okolica się zbiegła, przyjechali sąsiedzi bliżsi i dalsi. Zatykało im oddech ze wzruszenia i tremy, kiedy otwierałem tę uroczystość. Syrek (Serowski, działacz ludowy z Bieżunia – wyj. aut.) przyprowadził na nią ze dwie setki chłopów. Kroczył na przedzie i niósł wyciągnięty zza obrazu, a schowany przed hitlerowcami, zielony sztandar. Nie wytrzymał stary. Wyszedł z nim na ulicę!

To osobliwe wydarzenie przez długi czas zwiastowała mieszkańcom z grubej blachy sporządzona tablica: “Chłopskie Ogólnokształcące Gimnazjum w Boleśnie im. Władysława Orkana” (jest to nazwa literacka, nieścista – wyj. aut.). Nie było człowieka, żeby przechodząc nie zatrzymał się. Zauważyłem, że od tej pory i sam dyrektor Gołąb, co rano kołyszając się na swych chorobą zniszczonych nogach celował wprost od samego domu w ten właśnie napis. Doszedłszy, przystawał na chwilę przed cementowymi schodkami, zadzierał głowę do góry i patrzył na tablicę. Potem wspierając się na grubej lasce, zachodził dopiero do środka.

Mój Boże, myślałem – jak marzenia i zamysły (Gołębiowski nadał jednemu ze swoich tomików wierszy tytuł “Zamysły” – wyj. aut.) szybko się urzeczywistniają. Wprost nie do wiary. Niedawno snuł przede mną plany, ukazywał interesujące perspektywy, starał się zjednać dla sprawy, którą od dawna w sobie nosiłem... (Dyksiński miał plany zorganizowania Uniwersytetu Ludowego w okolicach Bieżunia, ów plan urzeczywistnił nieco później w Grzmiącej koło Skierniewic – wyj. aut.).

Przebywaliśmy z Gołqbem w sąsiedztwie. Często mnie odwiedzał. Przed wojną znaleźliśmy się dobrze. Potem Gołqb poszedł wysoko. Po skończeniu wyższych studiów został w jakimś dużym mieście profesorem (w Przasnyszu – wyj. aut.). W czasie okupacji wrócił znowu w te strony. Nosilem mu, schowane w bucie tajne gazetki. Później, kiedy opętała go szkoła, przychodził z każdą ważniejszą sprawą. Był pewien, że jeśli nie znajdzie w gminie pomocy materialnej, to przynajmniej setka chłopskich wozów poleci za “Bóg zapłać” w różne strony świata i przywiezie potrzebne materiały.

Co tu gadać, ciągnęliśmy robotę, jak dwa mazowieckie konie (...) Złośliwi szeptali: O, patrzcie, dwóch wariatów! Dobrali się! Z pewnością wietrzą jakiś interes... Ani ja, ani Gołqb nie przejmowaliśmy się zbytnio tym.

Dalej S. Dyksiński barwnie opowiada, jak latem 1945 roku wysłał do lasów koło Lidzbarka ponad trzysta wozów chłopskich i prawie sześćset ludzi. Ta wielka kolumna udawała się po drewno sosnowe, które hitlerowcy przygotowali do wywózki w głąb Vaterlandu. Wójt Dyksiński – jak pisał – “psim śwędem” dowiedział się o drewnie i zakupił je w całości. Drewno wieziono z lidzbarskich lasów na remonty szkół, mostów, wyrób ławek i szaf szkolnych. *Sporo kijów dwudziestometrowych zabrał “Gołqba”* – pisał autor. *Przeżywałem głęboko tamte dni. Tymczasem piły tartaczne w Sierpcu przez kilka dni i nocy kroili żywicą pachnące kłocce. Siedziałem kamieniem w kantorku i z kierownikiem w tartaku “oliwiłem” znakomitym samogonem mięśnie zmęczonych twarzy.*

“Dwie drogi” Stefana Gołębiowskiego i Stanisława Dyksińskiego tu zeszyły się nierozzerwalnie, by powstać mogło dzieło wspólne – szkoła średnia dla wsi i osady Biezuń!

Dyksiński swoją powieść pisał w latach 60. Przygotowywał ją do druku w Ludowej Spółdzielni Wydawniczej w 1970 r. Niestety – tekst nie został przyjęty, bowiem zawierał także fragmenty, jak na ten okres, jeszcze “trudne”, nie do przyjęcia.

Po latach przychodziła mu też nuta inna niż entuzjazm i szczęście faustowskie z wykonanej pracy dla innych. Pisał wtedy:

Z pewnością, za ileś tam lat to wszystko, co obecnie robimy, czym cieszymy się, co jest naszym sukcesem, z czego dumni jesteśmy, stanie się normalną rzeczywistością. Nikt już nie będzie przystawał pod tablicą naszego gimnazjum, nie zobaczy drugiego Gołqba utyłanego w wapnie i błocie, uczniów kopiających doły do wapna i kładących razem z murarza-

mi fundamenty pod nowy internat. Nierozumiałe i wręcz głupie będą dla nich nasze trudności...

Wójt Dyksiński przyznawał jednak na kartkach swej późniejszej twórczości, że jego misją już na zawsze pozostanie oddanie się wsi, leczenie jej z kalectwa ciemnoty, zacofania poprzez otwieranie szeroko bram oświaty.

Tymczasem kontynuujemy “pierwszą drogę”. Miarodajnym źródłem jest pamiętnik Gołębiowskiego “Wizerunek trójosobowy”:

Nareszcie uroczyste otwarcie szkoły. Pochód po ulicach Bieżunia. Patronem naszego Samorządowego Gimnazjum Władysław Orkan. Gdzie Krym a gdzie Rzym? Co mają wspólnego podhalańskie Gorce i mazowieckie od pól kwiaty polskie? Piękno górskiego krajobrazu z równin ubóstwem? (...) Gimnazjum rozwojowe. Na początku dwie klasy i dwa ciągi w nauczaniu: semestralny dla klasy I i II i roczny dla klasy II. Po dwóch latach (1947) ciąg semestralny został zlikwidowany. Utrzymał się jedynie roczny (...)

Baza jakże skromna. Dwie klasy, najwyżej trzy. Nie ma widoków na przyszłość (...) Sklep się przeniósł do domu gminnego, a ja tymczasem zajęłem opuszczoną piętrową kamienicę pod dwie klasy na parterze i dwa mieszkania dla nauczycieli na piętrze.

Już szkoła jako tako w pięciu klasach się mieściła, lecz sprawa rekrutacji była nadal otwarta. Bez internatu nie ma mowy o dalszym rozwoju (...).

Stał pustkami dom modlitwy przy buźnicy. W czynie społecznym przeprowadzamy w nim remont i w ten sposób zyskujemy dwie sale dla internatu żeńskiego oddzielone długim korytarzem od kuchni i stołówki.

Przy tym tak się szczęśliwie złożyło, że przedszkole znalazło większy budynek w Starym Rynku i myśmy opuszczony zajęli na użytek internatu męskiego: 4 izby pod piętrowe prycze i dwie mniejsze na poddaszu.

Był to samotny budynek po domach zburzonych (znajdował się na terenie obecnego boiska liceum – wyj. aut.). Uczniowie klas starszych plac ten własnym przemysłem ogrodzili, wychowawcy z klasami splantowali, a rodzice nawieźli żwirem. W ten sposób powstał plac sportowy dla gimnastyki (...).

Brakowało jeszcze sali gimnastycznej. I tę się udało stworzyć w sąsiednim drewniaku po skasowaniu wyeksmitowanego piętra (...) nowa sala, wyposażona w parkiet stała się nie tylko gimnastyczną. W niej również odbywały się uroczystości szkolne, zebrania rodzicielskie, świetlicowe, sobótki taneczne (...).

Dzięki stałej rozbudowie po pięciu latach (1950 r.) i po pierwszej maturze została Orkanówka upaństwowiona.

Nie było jednak tak dobrze, żeby nie mogło być lepiej. Szkoła miała dwa skrzydła: jedno dłuższe, narożne, parterowe, a drugie krótsze, ale za to piętrowe. Skrzydła te chociaż przyziemne, wymagały połączenia. Czas nagli, innej rady nie ma.

Trzeba samemu wziąć się do pracy. Plan i pozwolenie na budowę zdobyłem prawem kaduka dzięki bezinteresownemu architektowi z Sierpca. (...) Systemem gospodarczym stanęła piętrowa kamienica bliźniacza przy pierworodnej.

I jeszcze jedno piękne ujęcie momentu zaistnienia gimnazjum w osadzie. Uzyskamy w ten sposób efekt większego obiektywizmu i większego realizmu w sięganiu do chwili sprzed lat. Jego autorem jest redaktor Eugeniusz Ratajczyk, znany popularyzator muzyki klasycznej i poważnej w programie I Polskiego Radia. W swoim wspomnieniu na 50-lecie szkoły, jako były absolwent, pisał:

Ze szczególnym wzruszeniem wspominam rok szkolny 1945/46 w Samorządowym Gimnazjum im. Władysława Orkana w Bieżuniu, choć był to tylko epizod w mojej długiej edukacji (...)

Dla mnie, podobnie jak dla większości moich koleżanek i kolegów, ten pierwszy po wojnie rok był zarazem pierwszym okresem normalnego życia szkolnego. Wybuch wojny w dniu, w którym zwykle rozpoczyna się rok szkolny, nie pozwolił mojemu pokoleniu cieszyć się przeżyciami, jakie są udziałem ucznia (...). Lata okupacji skazały nas na konspiracyjne pobieranie lekcji prywatnych (...). Gdy skończyła się wojna, skorzystaliśmy z letniego kursu, zorganizowanego w szkole Podstawowej w Bieżuniu, a przeznaczonych dla kandydatów do nowo powstałego tutaj gimnazjum.

Po zdaniu wymaganego egzaminu stałem się (we wrześniu 1945 r.) jednym z najmłodszych uczniów tegoż gimnazjum: byłem wreszcie w prawdziwej szkole (...) wszyscy byliśmy szczęśliwi i dumni z tego, że na naszym terenie powstała szkoła, o której szybko dowiedziano się w Warszawie, a przedstawiciel stołecznego kuratorium – podczas swojej pierwszej wizyty w Bieżuniu – musiał wyznać, że tutejsze gimnazjum prezentuje ład, porządek i poziom, którego nie powstydziłaby się nawet najlepsza szkoła w Warszawie czy województwie. Gwarantem dobrej kondycji szkoły był dyrektor Stefan Gołębiowski, wspierany przez oddane mu bez reszty ciało pedagogiczne oraz rodziców, którzy nie szczędzili pracy społecznej i po-

mocy finansowej dla należytego funkcjonowania szkoły. Do tego trzeba oddać świeży, nigdy potem nie spotykany zapal i gorliwość uczniów w zdobyciu wiedzy (...)

Dalej E. Ratajczyk z sercem wspomina nauczycielkę gimnazjum – dr Stefanię Budny (z d. Zdziechowska) jako wybitną postać w życiu umysłowym ówczesnego Bieżunia. Znała dwa języki obce (angielski i francuski) i posiadała doktorat zdobyty w Uniwersytecie Jagiellońskim za rozprawę na temat prac naukowych Stanisława Brzozowskiego. W gimnazjum w Bieżuniu pracowała tylko jeden rok.

Ważne miejsce wśród pedagogów bieżuńskiego gimnazjum E. Ratajczyk przyznaje księdzu Błażejowi Pszczółkowskiemu, proboszczowi parafii Biezuń a także Bronisławowi Oleksiakowi, nauczycielowi śpiewu.

Tymczasem szkoła się rozwijała. W poszczególnych latach przybywało uczniów. Pasja Gołębiowskiego nie traciła nic ze swej siły. Poruszał w sprawie szkoły wszystkich i wszędzie. Dbał o należyty poziom placówki oraz odpowiedni dobór kadry pedagogicznej.

Od jesieni 1945 r. pozostał już jednak sam ze swoją szkołą, z uczniami. Jedna z “dwóch dróg” skończyła się. Urząd Bezpieczeństwa śledził działalność S. Dyksińskiego. Jeszcze w młodych swych latach był aktywnym ludowcem, działaczem Polskiego Stronnictwa Ludowego. W Bieżuniu uczestniczył w pracy politycznej swej partii. Szczegóły częściowo zawarł w przywoływanej wielokrotnie powieści “Pomniki ze słomy”. Nie jest jednak jasne do końca, dlaczego naraził się ówczesnej władzy politycznej, dlaczego był śledzony. Czy jego działalność polityczna w PSL-u na terenie Bieżunia niewygodna była dla komórki Polskiej Partii Robotniczej?

Biograf S. Dyksińskiego – Stanisław Ilski – tak pisał w 16. numerze “Bieżuńskich Zeszytów Historycznych”: *Funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa zainteresowali się nim szybko i zaczęli deptać po piętach. Początkowo ostrzegali, radzili żeby “zmienił ton” na zgodny z wytycznymi PPR, a kiedy nie odnosiło to skutku, przeszli do “konkretnych” działań. Zasadzili się na niego na strzeszewskiej grobli. Rzeka była obok, nietrudno więc o “wypadek”. Na szczęście przewidzieli to strzeszewscy chłopci i w kilku odwieźli go furmanką.*

Niedługo po tym zdarzeniu, była to późna jesień 1945 r., został aresztowany w Sierpcu na konferencji wójtów i innych działaczy. Osadzono go w areszcie urządzonym prowizorycznie w piwnicy Urzędu Bezpieczeństwa. Następnego dnia zatrzymano jego żonę Jadwigę i szczegółowo przesłucha-

no. Jadwiga Dyksińska opowiadała w 1966 r.: *“Przestuchiwiał mnie funkcjonariusz UB. Pytał o braci, ulotki, ludzi, którzy przychodzili (...) powiedział, że mąż jest szpiegiem, że donosi do wrogów (...) Wypuszczono mnie około godziny 23.00 chyba tylko dlatego, że byłam karmiąca (...)”*. Z Dyksińskim obchodzono się dobrze, tylko podczas przestuchań kuksano i kopano. Pozwolono przynosić obiady. Zwolniony został przed Bożym Narodzeniem pod warunkiem, że do Bieżunia nie wróci (...)

Tyle z biografii S. Dyksińskiego.

Dalszy przebieg tego momentu w życiu jednego z organizatorów życia powojennego w Bieżuniu, jednego z założycieli gimnazjum, wójta, późniejszego literata i działacza politycznego, oświatowego, człowieka oddanego swej ziemi nadwkrzańskiej spróbuję zrekonstruować w oparciu o powieść *“Pomniki ze słomy”*. Przypomnę jednak wcześniej, że S. Dyksiński teraz, w Sierpcu, znalazł się po raz drugi. Pierwszy raz był tam w momencie powrotu do Bieżunia zaraz po zakończeniu działań wojennych. Czyżby i tu historia zatoczyła koło? Co za siła fatalna spowodowała, że człowiek wracał w miejsce sobie wrogie? Z pewnością zdarzenia, o których napiszę później, będą stanowić przykład jednostkowy, lecz jakże znamienny. Musiały w powojennym porządku PRL-u dziać się sprawy, z których wynikały *“rachunki krzywd”*.

Do Bieżunia docierały zaledwie echa wielkiej polityki roku 1945. W targowy dzień chłopci cieszyli się, że w sklepie pojawiły się kosy i oselki do ich ostrzenia. Na drewnianych ścianach chałup bieżuńskich wisiały plakaty. Mówiono o przyjeździe E. Mikołajczyka i utworzeniu rządu tymczasowego, o tym, że atmosfera w kraju robi się coraz bardziej niespokojna. Niektórzy cicho szeptali o NSZ, o bandach UPA na wschodzie i południu Polski. Wśród ludności wyczuwalna była rezerwa odnośnie nowej władzy, nowej rzeczywistości. Amnestia wydana wobec całego *“podziemia”* nie bardzo rozładowała napięcie.

Działacze i członkowie stronnictwa ludowego czuli się dotknięci. Uważali, że wojenne Bataliony Chłopskie nie mogą być traktowane na równi z innymi grupowaniami.

Splątały się najprostsze rzeczy, w takim małym środowisku sprawy zaczęły nabrzmiewać, a przecież wszyscy dookoła się znali – pisał S. Dyksiński. Nowe nie niosło spokoju, było kwaśne, jak rozczyn chlebowy fermentowało... Ale ja myślałem o mojej Wkrze, Dębowcu pachnącym konwalia i żytnich polach zapatrzonych w błękitne mazowieckie niebo. I wie-

działem, że wszystko musi tak pozostać, jak przedtem. Nikt się z tej ziemi nie ruszy, za żadne skarby świata.

■ Jakże się mylił i jakiej ulegał wtedy złudzie. Pisał np.:

Nie tak dawno uległem złudzeniu, że obecne stanowisko (wójta – wyj. aut.) daje mi przywilej neutralności. Nie potrzebuję spełniać woli tej czy innej partii, gdyż jestem ponad nimi, działam w imieniu wszystkich ludzi partyjnych i bezpartyjnych.

■ W Bieżuniu przygotowano wiec na rynku. Na ustach wielu były słowa o tym, że Polska będzie już “tylko chłopska i robotnicza, nie będzie pańskiej Polski”. Zastanawiano się kto lepszy jako polityk – Witos czy Mikolajczyk? Która z partii lepiej troszczy się o chłopą – SL czy PSL?

■ Na wiec do Bieżunia przybyli goście z Sierpca: “Kociszewski”(?) – prezes stronnictwa, dawny “wiciarz”, “Szczęsny” – inspektor samorządu terytorialnego. W biurze wójta Dyksińskiego byli też inni: Stanisław Węglewski (z ramienia PPR-u), także “Zimny Stanisław”(?), Józef Bąk” (?), komendant posterunku – Kinalski i “Siwek”(?) – szef bieżuńskiego urzędu bezpieczeństwa.

■ W rozmowie między gośćmi z Sierpca i Dyksińskim powróciła sprawa odmowy przyjęcia funkcji wicestarosty sierpeckiego, o czym wspominałem wcześniej. Narzekano, że w powiecie w Sierpcu panuje atmosfera nieufności, wzajemnego “podgryzania”, intryg politycznych. Mówiono także o politycznym notablu sierpeckim, który w powieści Dyksińskiego nosi przydomek “Golibroda”, i który odgrażał się Dyksińskiemu.

■ S. Dyksiński nie podaje w powieści treści wrzawy politycznej wynikłej podczas wspomnianego wieceu. Wiadomo tylko, że doszło do ostrego sporu ideologicznego wywołanego przez pepeerowca Węglewskiego.

■ Dyksiński jako mówca zmuszony był ostro zareagować. Pisał później zdeglustowany polityczną wrzawą:

(...) wciąż odrzucałem myśl, że ten drobny epizod mógł skomplikować mi życie. Nie potrzebowałem się sprawdzać, byłem czysty, z najlepszą wiarą pełniłem swoje obowiązki, a że różniłem się w pewnych sprawach z niektórymi ludźmi, no to co? (...) Przecież cel, do którego zmierzaliśmy był jeden, a dróg do niego prowadzących może być wiele. Byliśmy u ich początku i nie wiadomo, która będzie lepsza.

■ W całym kraju trwała tymczasem walka polityczna, wojna domowa, jakby tej dopiero skończonej było za mało. Mnogość organizacji legalnych i podziemnych, jeszcze większa mnogość opcji politycznych – pra-

wicy, lewicy, skrajnych grup, grup prosowieckich, prozachodnich, nacjonalistów, socjalistów, byłych konspiratorów i aktualnych – wszystko to nie mogło w społeczeństwie gwarantować spokoju i rozpoczęcia czasu pokoju, pracy wspólnej, wspólnego zakończenia wojny z Niemcami i między sobą.

J. Andrzejewski powyższą atmosferę celnie określił w swojej powieści „Popiół i diament”. Już długo po jej ukazaniu się ukazał się w prasie artykuł nawiązujący do okresu pierwszych dni i miesięcy w Polsce powojennej. Artykuł ten miał wielce wymowny tytuł: „Popiół i zamęt”. Dotyczył – z grubsza biorąc – kolejnych ofiar i zabójstw dokonywanych między Polakami, wzajemnej rywalizacji ugrupowań politycznych i zbrojnych, podawał też liczby poległych. Były to tysiące, dziesiątki tysięcy.

S. Dyksiński także odnotowuje tragiczne zabójstwo z 1945 r. dokonane na trzech osobach. Mężczyzna (Stach?) i kobieta byli nauczycielami, kim była trzecia osoba (mężczyzna?), pisarz nie podaje.

Jesienią był kolejny pogrzeb niejakiego „Kuby” ze Starej Wsi”(?). Udział w zbrodni miał Urząd Bezpieczeństwa.

W samej gminie i w urzędzie gminnym – notuje pisarz – panowała atmosfera niepokoju, wzajemnej nieufności. O losy wójta Dyksińskiego obawiali się jego najbliżsi – matka i żona Jadwiga. Brat Klemens nie wracał do domu, wiadomości przysyłał do Bieżunia zawsze przez kogoś zaufanego. Był w czasie wojny oficerem podziemia AK-owskiego – porucznikiem. Z pewnością teraz był śledzony i ścigany.

Członkowie PPR-u z Bieżunia zachowywali wobec wójta-ludowca, dawnego „Wiciowca” – dystans, jakby się bali, nie mieli politycznego zaufania. Tymczasem atmosfera coraz bardziej stawała się trudna. Dyksiński wspomina, że nawet „Gołąb” jakby zaczął stronić. Już nie ponaglał w sprawie wyjazdu do Kuratorium. „Może stawał tylko na pewniaków?”

Pepeerowcy (Kinalski i „Siwek”) mieli własnego kandydata na stanowisko prezesa rady nadzorczej w spółdzielni rolniczej. Nie zgadzali się, by tę funkcję objął Wacław Radzymiński (w powieści „Radzik”).

W różnych wsiach chłopci nie chcieli oddawać kontyngentów. Interweniowała milicja i UB. Wójt zmuszony był uspokajać nastroje i konflikty. Gdy przejeżdżał wsie (Gołuszyn, Bielawy, Sokołowy Kąt), wracały nie-dawne wspomnienia wojenne. W niektórych wsiach dawniej dworskich odzywały konflikty między „Starym” a „Nowym”. Określenie „kułak” było znane, popularne. Nierzadkie były kary, utrudnienia, represje urzędowe.

Podczas powrotu z wiejskiego zebrania Dyksiński zostaje schwytyany przez umundurowanych ludzi na koniach. Zawieźli go łódką po Wkrze do "Bambra". Prawdopodobnie był to oddział AK lub NSZ, bo uznali, że schwyтали "Wójta u komunistów",

Przesłuchiwany zeznawał, że służbę wojskową odbywał w I Pułku Łączności w Zegrzu, w 1939 r. należał do Związku Walki Zbrojnej, później do Batalionów Chłopskich. Oddział ZWZ – zeznawał Dyksiński – został zdekonspirowany z powodu "wsypy". On sam ratował się ucieczką do Warszawy, a następnie do Wadowic Górnych, Mielca, Radomyśla w Rzeszowskiem i w kieleckie.

Od niechybnego wyroku śmierci uratował się biezuński wójt dzięki przypadkowemu wymienieniu pseudonimu brata Klemensa i pseudonimu "Sęp" (Bernard Zieliński) – szefa wyszkolenia Podokręgu "Wkra".

Znamiennym wydarzeniem w Bieżuniu była kradzież koni "w biały dzień". Koniokradów otoczono i skradzione konie odebrano. Były ofiary w ludziach. Część złodziei koni uciekła^{*)}. Dyksiński uczył ulgę i miał poczucie konsolidacji, jedności środowiskowej, nieistnienia różnic ideowych, politycznych. Wracała nadzieja i optymizm.

Jak już wspominałem, jesienią 1945 r. S. Dyksiński został aresztowany i osadzony w celi w Sierpcu. Nie są mi znane przyczyny aresztowania. Z pewnością chodziło o poglądy polityczne, postawę, polityczne credo wójta, który nie był rzekomo "człowiekiem postępu". Dość zauważyć, że już przed wojną pobierał naukę u biezuńskiego nauczyciela Leona Sułkowskiego. Zdał maturą eksternistycznie. Do pracy na roli, w gospodarstwie swego ojca, nie miał serca. Już w 1928 roku zatrudniony był w młynie w Bieżuniu jako tzw. pisarz. Później zajmował się pracą społeczną, należał do organizacji ZMW RP "Wici" i Związku Strzeleckiego. Związał się też z biezuńskim kołem PPS. Biografia S. Dyksińskiego jest o tyle ciekawa, że był to człowiek gorącego serca, niespokojny, pracowity, zdolny. Pracował w trudnych latach trzydziestych jako urzędnik w samorządach gminnych w Bieżuniu, Lisewie i Sławęcinnie. W 1935 r. ożenił się z komendantką żeńskiego oddziału "Strzelca" w Bieżuniu – Jadwigą Kondratowską.

*) Fakt ten ciągle nie został udokumentowany naukowo. W Bieżuniu, w centralnym miejscu, długo po roku 1945 wzniesiono pomnik z piaskowca z nazwiskami ofiar tego zajścia. Po kilkunastu latach (po 1989 r.) nazwiska "utrwalaczy władzy ludowej" usunięto, a w ich miejsce umieszczono tablicę poświęconą A. Zamojskiemu.

Co jeszcze ciekawsze – jako pisarz debiutował przed wojną, drukując opowiadania w prasie sierpeckiej i płockiej. Tak więc znajomość realiów ziemi sierpeckiej, także bieżuńskiej, zawkrzeńskiej nie może budzić wątpliwości. Owa znajomość realiów w połączeniu z niewątpliwym talentem pisarskim musiały przynieść przed i po wojnie dorobek literacki i ciekawy, i niemały w postaci opowiadań, licznych. artykułów, powieści i reportaży.

W czasie wojny Dyksiński także był aktywny. Formalnie był urzędnikiem we wsi Sławęcín, działał w konspiracji w POZ. Jego brat Klemens w tym samym czasie był dowódcą oddziału POZ, który działał na terenie Gminy Biezuń, Sławęcín, Lutocin i Żuromin. W sierpniu 1941 r. – podaje biograf – z powodu aresztowań, Stanisław Dyksiński wraz z bratem Klemensem zmuszeni byli ratować się wyjazdem na południowo-wschodnie tereny kraju (wspomniane już Wadowice Górne). Wtedy przyjął wraz z żoną konspiracyjne nazwisko – “Rola”. Tu też rozpoczął aktywne członkostwo w szeregach BCh.

Do Bieżunia małżonkowie Dyksińscy powrócili w styczniu 1945 r. już po wyparciu Niemców przez Armię Czerwoną. To dość długie cofnięcie biografii w czasie należało uczynić po to, by podkreślić, że w momencie aresztowania przez sierpeckie UB (Urząd Bezpieczeństwa – wyj. aut.) jesienią 1945 r. S. Dyksiński był człowiekiem znającym życie, tajemnice polityki, mającym szerokie horyzonty umysłowe. Nie był to zatem zwykły “wójt z Bieżunia”. Metodę retrospekcji stosował zresztą autor w przywoływanej tu powieści.

Dalsza “droga” – uprzedźmy wypadki – rozpoczęta w celi UB w Sierpcu już nie pozwoli S. Dyksińskiemu na powrót do kochanego Bieżunia i do ziemi, którą zawsze później opiewał, do rzeki Wkry, o której pamiętał.

“Droga” S. Dyksińskiego od teraz rozłączyła się z “drogą” S. Gołębiowskiego. Korespondowali ze sobą, lecz jak wynika z zachowanych listów, dość oficjalnie. Gołębiowski pozostał na swojej “bieżuńskiej niwie”, drodze społecznikowskiej, pedagogicznej, literackiej, mieszkając do śmierci w swym bieżuńskim “Sabinum” – jak pisał.

Prześledźmy jednak tę życiową “drogę” S. Dyksińskiego dalej. Wychowany na zaangażowanej literaturze polskiej – Żeromskiego, Orkana, Mickiewicza, Norwida, człowiek wrażliwy, zupełnie oddany ideałom postępowej inteligencji polskiej, wyznawca idei Solarza, notuje pobyt w więzieniu UB w Sierpcu:

Niestety, dzień za dniem upływa i nie spełniają się moje pragnienia, Im dłużej tu siedzę, tym większy czuję niepokój.

Nie mogę sobie wytłumaczyć, zrozumieć i pojąć jak to się stało? To pomyłka, ogromna pomyłka. Za co jestem oskarżony, pytam siebie setki razy dziennie, błędząc z rozpaczą po celi? (...) Próbuję znaleźć przyczynę.

Wtedy to przypomniał sobie, że kiedy udał się na kolejne zebranie do starostwa w Sierpcu, spotkał pracownika sądu – Kłopcocińskiego (w powieści pseudonim „Łysy”). Ten ostrzegł go, by nie brał udziału w zebraniu, będzie aresztowany. Doradzał wyjazd na zachód.

S. Dyksiński nie uwierzył w ostrzeżenia. Zebranie prowadził “wysoki, dobrze zbudowany mężczyzna” jako “nowy szef urzędu”. Z pewnością to on oskarżał Dyksińskiego i innych publicznie. Autobiograficzna powieść “Pomniki ze słomy” pomija konkrety, przyczynę aresztowania, natomiast moment wprowadzenia do celi został opisany następująco:

Byłem samotny. Oddałem sekretarzowi pieniądze, by wręczył je żonie i napisałem na karteczce dwa zdania: Nie martw się o mnie, wszystko będzie dobrze. Pilnuj dzieci (...)

Stodółna (obecnie ulica Narutowicza; wyj. aut.) (...) Brama bezszelестnie zamknęła się za mną. (...) Żelazna, rozsuwana krata i długi wysoki korytarz. Drzwi jedne, drugie i trzecie.

W te ostatnie wprowadziło mnie dwóch młodych chłopców. Tam sprawne ręce obmacały moje kieszenie, pozbawiając osobiste rzeczy. To nie były jeszcze moje drzwi. Tutaj znajdowała się “przechowalnia”.

Następnie został zaprowadzony do “swoich drzwi”; do celi, której drzwi były okute blachą.

Tu z początku więziony był samotnie. Bronił się modlitwą od załamania, powoli tracił rachubę czasu. Posiłkami była szara kawa i “ciężki jak glina chleb”. *Kto by pomyślał, że się tu znajdę. (...) Zabrać komuś wolność to największa zbrodnia na tej smutnej ziemi. Nie mogę pojąć, jak człowiek może rozporządzać drugim człowiekiem – pisał.*

Do celi przyprowadzono volksdeutscha, którego S. Dyksiński znał w Bieżuniu. Tłumaczył się, usprawiedliwiał. Trząśł nim strach.

Po wielu dniach rozpoczęło się przesłuchanie. Pytania dotyczyły osoby Wacława Radzymińskiego, o którym wcześniej wspomniałem, jako o kandydacie na prezesa Spółdzielni Rolniczej w Bieżuniu.

Prowadzący śledztwo oskarżał W. Radzymińskiego o współpracę z Niemcami, o przymuszanie Polaków do pracy w czasie budowy przez Niemców

drogi. Używał nawet określenia “kapo”. Dyksińskiemu zarzucano częste zmiany przynależności zbrojnej, konspiracyjnej (od jesieni 1939 – był z ZWZ, później w BCh”). Pytano, oczywiście, o brata Klemensa, który w roku 1945 jeszcze nie powrócił do Bieżunia. Jak już pisałem, także należał do ZWZ, a następnie do AK. W 1944 r. walczył na przyczółku sandomierskim.

Przesłuchanie zaczynało stawać się dramatyczne. Pierwsze zeznania Dyksińskiego nie spodobały się śledczym. Groził kolejny etap, groźniejszy, może bicie? Przypuszczał, że może poprzez osobę W. Radzymińskiego szukają “nitki do kłębka”. W grę wchodziła także osoba zaprzyjaźnionego z Dyksińskim “Sępa”, o którym była mowa wcześniej.

Po tym przesłuchaniu nastąpiła długa, wielodniowa przerwa, z tym, że Dyksiński nie przebywał od tej pory w celi samotnie. Dołączono nowe osoby rzekomo nieprawomyślne, podejrzane:

Naga zimna cela wzbogaca się z każdym dniem. Nie jest już wypełniona jak pierwszego dnia rozpaczą i tęsknotą za domem i rodziną.

Zaludnia się nowymi zdarzeniami, twarzami, a każda z nich pozostawia jakąś cząstkę swojej osobowości. Nic w życiu nie dzieje się bezmyślnie, za darmo. (...) Do dziś martwiłem się, że ludzie przychodzą do mojej celi i odchodzą, jak podróżni na stacji kolejowej, ja zaś czekam na swój pociąg (...) Oswajam się z myślą, że jeszcze przyjdzie mi poczekać.

Pewnego dnia w otwartych drzwiach celi pojawiła się żona Wacława Radzymińskiego. Z pewnością poszukiwała męża, który miesiąc temu gdzieś “zaginął”. Nie dowierzała UB w Sierpcu, przypuszczała, że siedzi tu w areszcie. Od niej Dyksiński zdobył krótką wiadomość, że “w domu wszystko w porządku”. Wizyta żony poszukującej rozpaczliwie swego męża wywarła w duszy Dyksińskiego natłok myśli, uczuć i obaw, wystrzyła wyobraźnię:

Obecnie w mój świat wewnętrzny wtargnęły nowe wydarzenia i nowi ludzie. Po wizycie żony Radzika (W. Radzymińskiego) nastąpił gwałtowny powrót myślami do domu (...) Martwiąc się o zdrowie rodziny, jak sobie poradzą z gospodarstwem? Kto obrządza kasztanka? Czy pole zaorne na zimę? Czasem “wpadam” do naszego ogródka (...), Boże, jak długo jeszcze będę siedział?”.

Później śledztwo przejął ktoś nowy, nazywany “Belfrem”(?) Wiadomo z powieści tyle, że był z wykształcenia nauczycielem. Wiedział sporo o przeszłości Dyksińskiego – o jego pracy, o zamiarze powołania uniwersytetu ludowego.

W nocy do celi przyprowadzono skatowanego w czasie śledztwa niejakiego "Witka". Towarzysze niedoli leczyli mu rany, ratowali od psychicznego załamania. Później "Witka" zabrano do szpitala.

Niejaki "Wasiołek", strażnik, dostarczył Dyksińskiemu ukradkiem w czasie spaceru przekazany przez żonę "koc, bieliznę i osobiste drobiazgi".

Czas aresztu przedłużał się.

Pewnego popołudnia "szef" UB wezwał S. Dyksińskiego na kolejne przesłuchanie. Ciągle nurtowała go sprawa tajemniczego zniknięcia W. Radzywińskiego. Uciekał się do lżenia i kpin. Używał charakterystycznego zwrotu: "nie podoba wam się ustrój, tęsknicie za starym?".

Połowę ludzi mi wyrąbali! (...) Nie wy, to wasi przyjaciele, kumotrzy. Ja się z wami rozprawię. Wybiję jak gnidy, co do jednego!

A ty się doigrasz! Ja ci dowiodę z kim miałeś konszaktę! Buntujesz chłopów, przeciw władzy ludowej, chcesz zgładzić klasę robotniczą, kontyngentów nie każesz oddawać!

Tak – według powieściowej relacji – oskarżał Dyksińskiego "szef" UB.

Po tej rozmowie wójt z Bieżunia odczuł, że jego sytuacja zmieniła się na gorsze. Nawet przyjazny strażnik "Wasiołek" zamilkł i był oficjalny. Wspomniany śledczy o ksywie "Belfer" już nie prowadził przesłuchań.

S. Dyksiński słyszał nocą dzwony kościelne bijące na pasterkę. Zaczynały się Święta Bożego Narodzenia w 1945 r.

Tej samej nocy do celi wprowadzili strażnicy trzech chłopów, których zaaresztowano za nieoddanie kontyngentów. Zbyt nie martwili, wiedzieli, że niedługo zostaną zwolnieni. W celi rozmawiali o naciskach na zakładanie spółdzielni. Nazywali je "kołchozami". Z nimi to S. Dyksiński zaprzyjaźnił się. Byli uczciwi, znali tajemnice wsi. Mieli także wiadomości o aresztowaniu "wójta z Bolesna" (Bieżunia).

Dyksiński otrzymał od "Wasiołka" utajnioną informację, że żona i przyjaciele czynią w Warszawie starania o jego zwolnienie. Wkrótce "Wasiołek" wyznał, że pochodzi z "Młynowa" (Mojnowa), że spotkali się wtedy, gdy Dyksiński próbował zaagitować chłopów do założenia w tej wsi uniwersytetu ludowego. Dało się zauważyć, że walka polityczna wzbierała na sile. Jej skutkiem były coraz liczniejsze aresztowania, szczególnie wśród chłopów, często kończące się brutalnym deptaniem godności ludzkiej.

Z zewnątrz więzienia docierało do celi coraz więcej wiadomości, przecieków. Ktoś ("Franciszek") podrzucił dyskretnie do celi parę książek. W kraju zbliżały się wybory. Walka polityczna nie przebiegała w środkach.

Więzień z Bieżunia był dla UB więźniem trudnym. Przesłuchujący go ponownie "Belfer" twierdził, że "nie można go ani ukarać, ani zwolnić". Brakowało dowodów i argumentów. Istniały jedynie wątpliwości, tropy. Z pewnością irytowała UB postać intelektualisty, człowieka czytelnego, odważnego, znającego arkana polityki.

Żona Dyksińskiego donosiła w przemyconym liście, że do Bieżunia powrócił "Jabłonka" – najstarszy z braci Stanisława.

Złowrózenna wieść, że gdzieś w powiecie zastrzelony został zastępca szefa UB, zamąciła spokój więźniów. Wśród nich był podejrzany o ten czyn "porucznik Zygmunt" (?). Za parę dni, jako oczyszczony z zarzutów, został zabrany z celi przez swego byłego dowódcę w stopniu pułkownika.

Po jakimś zamachu na areszt UB więźniowie znowu popadli w apatię, pesymizm.

Pod koniec powieści S. Dyksiński zawarł jednak moment zwolnienia go z aresztu:

(...) *zgrzytnęła zasuwa u drzwi i wszedł Wasiołek. Z progu wołał urzędowym tonem:*

— *Wójt Łukasz, proszę za mną!* ("Łukasz" w powieści to porte-parole autora).

Nie dowierzam.

— *Już, już, niech pan się zbiera. Swoje rzeczy proszę zabrać. Koc, kurtkę, wszystko.*

Przed opuszczeniem więzienia UB w Sierpcu Dyksiński jeszcze odbył ostatnie spotkanie ze śledczym "Belfrem": *Proszę, siadać, czasu mamy niewiele (...) Jak się pan domyśla, za kilka minut będzie pan wolny.*

Po podpisaniu formalnego dokumentu śledczy "Belfer" zakomunikował i zarazem ostrzegł:

Przykro mi, ale na razie nie będzie mógł pan jechać do domu.

— *Jak to, jak to? pytam przerażony. A gdzie chcecie mnie zabrać?*

— *Nikt, nigdzie nie chce pana zabrać. Proszę mi ufać. W tej chwili nie może pan wracać do domu, lepiej jak pan będzie od niego dalej.*

— *A dokąd mam jechać i z kim?*

— *Pojedzie pan sam. Bilet wykupiony. Kierunek Ziemia Zachodnia. Pociąg odjeżdża za niecałą godzinę.*

Odprowadzę pana, przez drogę dowie się pan szczegółów.

Odmowa – twierdzi S. Dyksiński – groziłaby czymś gorszym; powrót do Bieżunia – był niebezpieczny.

Tak oto Stanisław Dyksiński, były żołnierz BCh, literat, jeden z założycieli gimnazjum w Bieżuniu, wójt, kończył kolejny etap swej "drogi". "Belfer" uchylił rąbka tajemnicy: *Chcę panu powiedzieć, że pora jest bardzo ciężka. Idą niedobre czasy. Pan jeszcze nie wie. Dowie się pan później. Bierzemy ostry kurs, bardziej ostry. Nie wiadomo, co z tego wyniknie.*

Pociąg ruszał. S. Dyksiński odnotował po latach:

Jestem oderwany od ludzi, miejsc i spraw tej ziemi.

Wolny, wolny, wolny, skandują koła pociągu. (...) Może to jeszcze do mnie nie dotarło? Dziwna jest ta moja wolność. A może myślę sobie – takiej wolności, jakiej człowiek pragnie, nie ma w ogóle na świecie?.

Najpierw wyjechał na południe Polski.

Dalsza "droga" S. Dyksińskiego prowadziła go do Grzmiącej koło Grodziska Mazowieckiego, gdzie pełnił funkcję kierownika Uniwersytetu Ludowego (1946-1959). Jego żona pracowała wtedy jako nauczycielka muzyki, śpiewu i tańca.

Po połączeniu się obu partii chłopskich (PSL i SL) należał do Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego. Szybko awansował. Był dyrektorem do spraw szkolenia Centrali Rolniczych Spółdzielni w Teresinie, inspektorem w Centralnym Zarządzie Szkolenia Kadr w Ministerstwie Rolnictwa.

W 1955 r. ukończył studia pedagogiczne.

Od 1957 r. był instruktorem w Wydziale Oświaty i Kultury a także Sekretarzem Komisji Kultury i Sztuki Naczelnego Komitetu ZSL.

Powrócił do przerwanej z powodu wojny twórczości literackiej i publicystycznej.

Jej omówienie zostało przedstawione przeze mnie w 16. numerze "Bieżuńskich Zeszytów Historycznych". W roku 1969 S. Dyksiński został członkiem Związku Literatów Polskich. Znany jest głównie z powieści "Chustka Weroniki" (1967), zbioru opowiadań "Dziki gołąb" (związanych problematyką z terenem gminy Bieżuń), reportażu z pobytu w Ameryce pt. "Nie gaście świateł na Mannhatanie" (1975) oraz licznych prac książkowych i publicystycznych związanych z uniwersytetami ludowymi i problematyką szeroko rozumianej kultury na wsi polskiej.

Do ostatnich dni pisał, działał, realizował swoje życiowe cele.

Zmarł w Warszawie 27 grudnia 1973 r. Przeżył 64 lata. Pochowany został najpierw w Bieżuniu, w swej ziemi, gdzie płynęła jego ukochana Wkra. Później w 1977 r. rodzina przeniosła miejsce spoczynku syna bieżuńskiej ziemi do Warszawy.

“Droga” S. Gołębiowskiego – “Gołąba” z powieści. S. Dyksińskiego biegła dalej, lecz już samotnie. Zabrakło mu teraz pomocnika wielkiego charakteru, odwagi, odporności na urzędowe wieczne utarczki i konflikty, a przede wszystkim człowieka nie ulegającego koniunkturalności, skromnego i zarazem skutecznego w działaniu.

Gołębiowski szedł po swojej “drodze” do przyszłego “Liceum” (celowo używam wielkiej litery) sam jako twórca, lecz nadal miał poparcie społeczności Bieżunia.

W latach 1945-1947 (wg zachowanych akt szkolnych) pobierało naukę 141 uczniów pochodzenia chłopskiego, 9 uczniów – pochodzenia robotniczego (środowisko typowo wiejskie), 29 – dzieci rzemieślników, 10 – z rodzin inteligentkich oraz 11 z innego pochodzenia społecznego. Należy dodać, że w tym okresie zaledwie 33 uczniów pochodziło z Bieżunia. Zatem, była to szkoła dla dzieci chłopskich. W ten sposób plany oświaty dla wsi uznane przez obu założycieli stały się faktem. Gołębiowski potwierdził w ten sposób, że wieś żadna była “światła”, wiedzy.

Dyksiński potwierdził zasadność pracy niemalże “u podstaw” lub “organicznej” związanej z ideami Solarza, twórcy uniwersytetów ludowych.

W zestawieniu tabelarycznym liczba uczniów w poszczególnych latach wskazuje, że szkoła rozwijała się.

rok szkolny	liczba uczniów
1945-46	106
1946-47	148
1947-48	159
1948-49	161

Pierwsza matura rozpoczęła się 21 maja 1951 roku (poniedziałek). Gołębiowski wspominał, że zgodnie z duchem czasu *sala została udekorowana portretami wielkich twórców marksizmu-leninizmu, godłami państwowymi i portretami wielkich naszych artystów.*

Abiturienti – 11 dziewcząt i 11 chłopców – odśpiewali “Hymn Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej” i po okrzykach “Walce, Nauce i Pracy – Cześć!” (...) rozpoczęli egzamin pisemny.

Treść tematów, zgodnie z programem realizmu socjalistycznego, dotyczyła łączenia bohatera “Ludzi bezdomnych” – Judyma z postacią wziętą z powieści M. Gorkiego “Matka” – Własowa, idei postępu (ze względu na nastawienie na racjonalizm) w twórczości pisarzy oświecenia, wreszcie planu 6-letniego, jako że był to temat obowiązkowy.

Dosłownie trzy tematy pierwszej matury brzmiały:

1. Dr Judym i Paweł Własow jako wyraziciele poglądów społecznych Żeromskiego i Gorkiego.
2. Walka o postęp w twórczości i działalności pisarzy polskich epoki Oświecenia.
3. Rozwiń myśl zawartą w słowach Prezydenta Bieruta: "Plan 6-letni wzmacnia siły Polski i wzmacnia jej niezależność, a wraz z tym wzmacnia wkład Polski do ogólnoludzkiego dzieła pokoju".

Następnego dnia – 22 maja – odbył się pisemny egzamin dojrzałości z matematyki. I tu tematy były ideologizowane zgodnie z okresem historii, np. zadanie pierwsze, mimo koniecznych liczb i danych, miało wykazać, że "Pluton SP" (Służby Polsce) pracuje dobrze i sprawnie.

Wyniki obu egzaminów były bardzo wysokie. Dyrektor Gołębiowski i rada pedagogiczna zebrali wielki splendor i satysfakcję. Zarazem był to wielki sukces młodzieży. Jeszcze lepiej wypadły egzaminy ustne. Gołębiowski odnotował:

Ten prawdziwy koncert dopiero na egzaminach ustnych.

Odpowiedzi z języka polskiego zadziwiły odczytaniem i znajomością utworów, jakiej po moich uczniach się nie spodziewałem. Inne egzaminy były nie mniej interesujące. Przemówienie maturzysty Blomberga na bankiecie (!) skierowane do wizytatora Kuratorium – Pikulskiego – wymownie dowodziło, że matura powinna stać się wzorem dla następnych. Za mojego dyrektorstwa (do 1965 r. – wyj. aut.) przeżyłem matur razem z tą pierwszą piętnością, ale w tej pierwszej z całym przekonaniem mogę potwierdzić, cytując Mickiewicza: ja tylko jedną taką maturę miałem w życiu.

Gołębiowski, jak dowodzą źródła, już wcześniej miał świadomość, że dotychczasowy stan budynków szkolnych, przygotowywanych w roku 1945 i następnych naprędce i tanim kosztem na dalszym etapie istnienia szkoły nie wystarczy.

Cały czas przygotowywał nowe koncepcje, snuł plany szkoły nowej, nowoczesnej, przestronnej.

Najstarszy chronologicznie zapis takiego przyszłościowego myślenia na miarę nowoczesnej szkoły znajduję w pewnym liście zachowanym w papierach po założycielu placówki. Gołębiowski korespondował po wojnie ze swym stryjem – Teofilem Gołębiowskim – na stałe mieszkającym w Kalifornii, w USA (stryj zmarł 7 III 1947 r.). Zachowała się kopia tego listu. Dziś, po latach brzmią te słowa listu późniejszego, opatrzonego datą

III 1947 r. jak plany "o szklanych domach" z Przedwiośnia' Żeromskiego:

Zima w tym roku mocno dała się we znaki. Takiej ludzkie najstarsi nie pamiętają. Trzecia część ozimin wymarła, a i kartofle jemy na pół zmarznęte. Za drugą przesyłkę odzieżową z góry dziękuję. Jeśli stryj ją wystął, to za jakiś miesiąc ją otrzymamy.

A teraz nie wiem, jakich mam użyć słów wdzięczności za przyrzeczenie z a p i s u, (wyr. aut.), który przechodzi najśmielsze oczekiwania. Kochany Stryju, jeśli sumę tę mi zapiszesz, (prawdopodobnie 20 000 dolarów – dop. aut.) to się przekonasz, że Ci w Bieżuniu wystawię pomnik trwalszy niż pamięć ludzka. Zamierzam wybudować gimnazjum w Bieżuniu, by cała okolica zrozumiała jakim jesteś dobrodziejem (...) Oczywiście przeprowadzenie całej sprawy wymagać będzie znacznieszego czasu i energii, na której zresztą, mi nie zbywa. Jeśli wprost z niczego zdołałem urządzić i wyposażyć cztery klasy gimnazjum, to przypuszczam, że przy gotówce rzecz pójdzie znacznie łatwiej. Jedyne zdrowie mogłoby stanąć na przeszkodzie. Może jednak przy Stryja pomocy Pan Bóg doda mi tyle sił, że pokładanych nadziei nie zawiodę. Stryj może nie zdaje sobie sprawy, jakbym Bieżuń podnieść pragnął. Już jest elektryczność, mamy trochę chodników. Ostatnio ożywiły się targi na świnię, co gminie daje znaczne fundusze do dyspozycji. Żydów w Bieżuniu już nie ma. Zostało cały szereg domów, które postaram się wyzyskać dla celów szkolnych. Szczególnie nadawałaby się do tego bożnica, co jednak wymagałoby znacznych remontów.

Piszę o tym wszystkim, bo Stryj ożywił we mnie plany daleko sięgające. A wydaje mi się, że gdyby każdy na siebie wziął jakiś Kącik Polski i urządził go przy ludzkiej pomocy, to prędko byśmy wydzwignęli się z ruin. A tych ruin mamy pod dostatkiem. Pewnie stryj wie o zniszczeniu Warszawy i może nie całkiem temu wierzy, a tymczasem to przechodzi ludzkie pojęcie (...). To jest jeden wielki cmentarz...

Profesor Mariusz Gulczyński, uczeń Gołębiowskiego z roku 1945 i 1946, wspomina, że obietnica spadku, okazała się iluzją. Lecz jest faktem, że Gołębiowski o tym spadku opowiadał swoim uczniom.

Muszę zauważyć rzecz niezmiernie istotną. Prawie identyczne słowa i plany, by jakiś "kącik Polski urządzić", odnajduje się w pozostawionym dorobku literackim S. Dyksińskiego. Świadczą też o tym późniejsze fakty z życia autora "Pomników ze słomy".

Obaj, nawet gdy ich drogi się rozeszły, czynili to samo – do końca swego życia. Różniły ich tylko szczegóły.

S. Gołębiowski w swym pamiętniku podaje, że dość wcześnie, zawiedziony z pewnością brakiem spadku po stryju, obrał inny kierunek swego działania. Ten kierunek, który, już nie w ramach powiatu sierpeckiego, miał przynieść nowy budynek szkolny. Pisał:

Szkoła się rozwija, chociaż warunki lokalowe wiele pozostawiają do życzenia (najwyżej 5 sal lekcyjnych), o rozwoju szkoły zadecyduje wybudowanie gmachu za 30 mln zł przewidziane planem sześcioletnim.

Był wtedy posłem do Sejmu, miał wgląd w sprawy inwestycji, sam też uczestniczył w planowaniu i uzasadnianiu budów na terenie kraju i województwa warszawskiego.

Gmina Biezuń przetrwała w granicach powiatu sierpeckiego do roku 1956. Po latach stalinizmu nastąpił "polski październik". Władzę w PZPR obejmował Władysław Gomułka.

W tym też roku utworzony został z kawałków trzech dotychczasowych powiatów nowy twór – powiat żuromiński. Pojawiły się ambicje, by w Żurominie otworzyć własne liceum, którego do tej pory nie było.

Władze powiatu żuromińskiego znalazły szybko okazję, by zaspokoić ambicje własne, a zarazem ukarać niepokornych bieżuniaków, zwanych "kielbierzami".

Gdy Gołębiowski przystępował do przygotowywania budowy, władza w Żurominie (np. F. Marucha) sprzeciwiła się, chcąc budowę liceum zlokalizować w Żurominie. Dochodziło nawet do lżenia osoby S. Gołębiowskiego, gdy pojawił się w powiecie. Intrygom nie było końca.

Jednak bieżuńskie społeczeństwo i tym razem umiało być silne jednością, odwagą i siłą argumentów.

Zawiązał się (17 I 1965 r.) "Społeczny Komitet Budowy Liceum Ogólnokształcącego w Bieżuniu". Na zebranie w Bieżuniu przybyło ponad 400 obywateli Bieżunia i okolicznych gromad. W komitecie nie zabrakło ludzi ofiarnych i mogących pomóc, np. dr. Stanisława Ilskiego (ucznia Gołębiowskiego jeszcze z tajnych kompletów), Tadeusza Twarogowskiego – profesora matematyki (i jednocześnie ucznia poety).

Ten okres historii Liceum w Bieżuniu należy do tych ciekawych, co i burzliwych, wręcz dramatycznych. Powstawały plany, by gromada Biezuń powróciła do powiatu sierpeckiego. W Bieżuniu odbywały się protesty, manifestacje i ciągle narady. Do Warszawy jeździły delegacje w sprawie utrzymania decyzji budowy w Bieżuniu, gdzie już wtedy gotowe były plany, lokalizacja, teren. Ostateczna decyzja należała do przewodniczącej

go WRN w Warszawie – A. Mierzwińskiego. Nie pomogły knowania notabli z Żuromina: sekretarza PZPR – S. Walczaka i przewodniczącego PRN – Maruchy. Komitet Budowy Szkoły w Bieżuniu miał fenomenalne poparcie terenu. Zachował się dzięki mgr. Tadeuszowi Twarogowskiemu dokument, w którym zebrano aż 1961 podpisów na rzecz budowy liceum w Bieżuniu.

Ostateczne ogłoszenie decyzji o zwycięstwie bieżuńskiego aktywu z Gołębiowskim na czele nad znieawidzonym powiatem odbyło się w remizie strażackiej w Bieżuniu 21 stycznia 1965 roku. Znieawidzony sekretarz St. Walczak nie przybył – wysłał sekretarza rolnego, Osińskiego.

Zebrań zagaił dr S. Iłski. Wkrótce padły sakramentalne słowa: “Szkoła będzie budowana w Bieżuniu...”

Na sali słychać było gromkie oklaski.

Kończyły się pomału “wojny punickie” o szkołę, jak zatytułowałem jeden z rozdziałów pracy na 50-lecie tej placówki (BZH, nr 6-7).

Nowy gmach “orkanówki” został oddany do użytku wraz z początkiem roku szkolnego 1965/66.

Stefan Gołębiowski do nowej szkoły przy ul. Warszawskiej 4 już jednak nie wszedł jako dyrektor. Zrezygnował z funkcji po konflikcie z radą pedagogiczną oraz dramatycznych dla niego zdarzeniach i konfliktach z władzą powiatową.

Tak kończył się kolejny etap jego “drogi”.

W “Tygodniku Kulturalnym” z dnia 15 IX 1974 r. opublikowano odpowiedź S. Gołębiowskiego na pytania ankiety dotyczącej związku z terenem, któremu się poświęcił. Gołębiowski mówił wtedy:

Przez szkołę wyszedłem naprzeciw działalności społecznej, z którą jestem związany od lat dwudziestu: przez cztery kadencje – w dwóch ostatnich jako senior – radny wojewódzki i przez dwie kadencje – poseł na Sejm.

Regulacja rzeki, zagospodarowanie doliny i komasacja zmieniły wygląd mojej Gminy do niepoznania (...) Po rzece najwięcej usiłowań włożyłem w drogi (...). Przez drogi najczęściej do ludzi wychodzę z mojej domowej samotności. Przez Czarnolas trafiłem do Sabinum Horacego, skąd wróciłem do bieżuniowego.

S. Gołębiowski także zadbał o to, by Bieżuniowi przywrócono zabrane przez władze carskie po powstaniu 1863 r. prawa miejskie.

Był także jednym z inicjatorów powstania w Bieżuniu muzeum, które aktualnie nosi nazwę Muzeum Małego Miasta.

“Droga” S. Gołębiowskiego zakończyła się po przeżyciu 91 lat (ur. 1900 r.). Zmarł 13 czerwca 1991 r. Pochowany został w swojej ziemi – w Bieżuniu.

W czasie pogrzebu, gdy kondukt żałobny mijał jego “Orkanówkę” przy ulicy Warszawskiej, odezwał się szkolny dzwonek, zgodnie z wolą wyrażoną w jednym z wierszy.

Nad trumną Prezes Towarzystwa Naukowego Płockiego – dr inż. Jakub Chojnacki mówił:

Sława człowieka wiąże się z jego dziełem. Często imię twórcy i rzeczy, które stworzył, żyją nierozdzielnie. Zdarza się jednak, że człowiek umiera, lecz jego dzieło opiera się zapomnieniu, przewyżcza śmierć. “ABIT, SED NON OBIT”.

Celowo dokonałem skojarzenia przedstawionych tu dwóch biografii z mało znanym na ogół opowiadaniem H. Sienkiewicza. W nim bowiem wystąpiły dwa zasadniczo różne typy bohaterów. To, że pozytywistycznych, nie jest w tej chwili istotne. Istotniejsze natomiast jest to, że obie postaci – Jaś Złotopolski i Maciej Iwaszkiewicz – stanowią dla siebie wyraźny kontrast. W konstrukcji obu, jako bohaterów literackich, występuje oboczność, tendencja zgodna z programem epoki – jeden musiał przegrać.

Jaś Złotopolski z “Dwóch dróg” miał mająteczek Złotopole, lecz był lek-koduchem, narcystycznym typem obrońcy herbu, tradycji sobiepanka. Miał powóz i... “długów więcej niż włosów na głowie”. Majątek zmarnował, sprzedając niemieckim kolonistom. Dla ogółu nic nie zrobił. Gardził wsią.

Jego adwersarz i rywal w staraniach o rękę Fani Bujnickiej (panny biednej, lecz z herbem) – Jaś Złotopolski – był inny. Skończył politechnikę w Paryżu. Po powrocie zajął się pracą nad rozwijaniem rodzinnego przemysłu. Udało mu się, bo miał właściwą motywację.

Kierowały nim hasła: dobro ogólne, “cała wartość człowieka leży w jego pracy”, “rozumnej pracy”. Był “chorążym” światła. Konkurent przegrał w staraniach o rękę pięknej, 22-letniej Fani – “perły i kwiatu Kujaw”.

“Dwie drogi” były różne. Zwyciężyło mądre i konsekwentne działanie. Nie szkodzi, że nie zakładał szkoły. Zresztą, “siłaczek” po 1945 roku chyba było niewiele. Jeśli były, to ich nazwiska są znane powszechnie. Z pewnością zna je Związek Nauczycielstwa Polskiego.

Działalność S. Gołębiowskiego i S. Dyksińskiego na rzecz Bieżunia to jakby “dwie drogi”, lecz nie – jak u Sienkiewicza – “różne” – lecz wspólne. Stąd sukces tym większy. Stąd owoc ich prac dla Bieżunia tym

wymowniejszy i trwalszy. Takich, jak oni, by skorzystać z wiersza Norwida, "nie od razu przyjmują na spokojne łożę".

Lecz chyba już czas, by "późny wnuk" czuł wdzięczność swym Pionierom, siewcom oświaty, kultury, by nazwiska obu mogły brzmieć – wbrew noweli "Litwosa" – "ZŁOTOBIEŻUŃSCY".

Na grobie innego bohatera Sienkiewicza, Wilka Garbowieckiego z epoki wczesnego pozytywizmu nie było nawet kwiatów. Mimo, że "droga do jego gospodarstwa była obsadzona wiśniami". Mimo, że gdy chłopci nie chcieli czytać, to on "kijem" ich napędził. Sienkiewicz zanotował już zupełnie na końcu: "Wilka jako samobójcę pochowano poza murem cmentarnym. Na jego grobie porastał bujnie piołun".

Kończąc, pragnę uczynić jedynie przypomnienie obowiązku obywatelskiego. Gdy czytamy na grobowcu Stefana Gołębiowskiego inskrypcję, "Stefan Gołębiowski – poeta" to siłą swego szlachetnego jestestwa "obywatelskiego" oddamy temu Człowiekowi to, co wielki Orkan dał Jemu.

Hasło, które umieściłem po latach na cokole kamiennym przed jego szkołą w Bieżuniu:

"ODDAJ NAUCE "N"
A ZOSTANIE "ORKA"

Nie znam inskrypcji na grobie Stanisława Dyksińskiego. Z odczytania twórczości i okrucich biografii bohatera tej równie zaszczytnej "drogi", która prowadziła do uszlachetnienia wsi polskiej znad pięknej mazowieckiej rzeki Wkry, wnioskuję, że i On wyznawał Orkanowskie hasło związane zawsze z osobą obu twórców gimnazjum na wsi w Bieżuniu:

"KTO IDZIE NAPRZÓD,
MUSI DOJŚĆ, GDZIE MYŚLĄ ZAMIERZYŁ,
CHOĆBY STO STRACHÓW ZASTĄPIŁO
NA ROZSTAJACH DROGĘ".

Humanizm, którego sensy są różne i realizacje także, w Bieżuniu osiągnął swój renesans i to w fazie szczytowej.

Niekiedy "dwie drogi" szczęśliwie się schodzą – na zawsze.